Na celowniku T-VI

JÁNUSZ PRZYMANOWSKI

NA CELOWNIKU T-VI

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Okładkę projektował
M. WIŚNIEWSKI

Printed in Poland

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej
Warszawa 1958 r. — Wydanie I

Nakład 100 000 egz. Objętość 4,5 ark. wyd. 3,25 ark. druk. Papier druk. mat. VII kl. 70 g. Format 70x100/32 z Fabryki Papieru w Częstochowie. Oddano do składu 8.VI.58 r. Druk. ukończ. w październiku 1958 r. Wojskowa Drukarnia w Łodzi
Zam. nr 955 z dn. 8.07.58.
M-32
Cena zł 5.—

PRELUDIUM POD MAGNUSZEWEM

19 dolnośląską dywizję pancerną generała Källnera wycofano spiesznie spod Radzymina w kierunku Pruszkowa i Piastowa. Czołowe oddziały dywizji SS „Hermann Goering" ściągnięto na zachodnie przedmieścia Warszawy, gdzie kwaterowały jej pozostałe jednostki. Plany operacyjne sztabu grupy „Mitte" zostały w ciągu paru godzin przekreślone. Dla jej dowódcy, gen. Reinhardta, była to już druga przegrana pod Warszawą. Pierwsze niepowodzenie spotkało go 8 i 9 września 1939 roku, gdy na czele 4 dywizji pancernej usiłował zdobyć stolicę Polski od strony Okęcia i Ochoty.

Któż przekreślił generalskie plany? Aby odpowiedzieć na to pytanie, przenieśmy się około 60 kilometrów w górę rzeki.

Nie grzmiały tam tysiące dział, nie przesłaniały słońca setki samolotów, nawet nie grała defiladowego marsza orkiestra pułkowa. Po prostu przez lasy, które od pola maciejowickiej bitwy idą aż pod Warszawę, przedzierał się ku Wiśle batalion piechoty. Plutony pierwszego rzutu niedbale przeczesywały krzaki, wyłuskując od czasu do czasu jakiegoś marudera z rozbitych niemieckich jednostek.

Dwa czy trzy razy napotkali tego ranka oddziały osłonowe. Poczynały stukotać automaty, włączały się do kłótni erkaemy i ciężkie karabiny maszynowe.

Kompania drugiego rzutu kłusem rozpoczynała manewr oskrzydlający. Ale gdy tylko pierwsze miny z moździerzy zdzierały korę z sosen, gdy rozkaz podrywał tyralierę do szturmu, ogień nieprzyjaciela słabł, krztusił się i batalion znowu rozpoczynał marsz.

Historycy to dziwni ludzie — zamiast notować na bieżąco to, co dzieje się dziś, wolą po latach odczytywać przez lupę pożółkłe papiery i na podstawie wyszczerbionych hełmów wnioskować o przebiegu bitew. Batalion nie miał w swych szeregach historyka i w związku z tym nie mogę stwierdzić, o której godzinie łącznik w ciemnej od potu bluzie zameldował dowódcy, że las się skończył, za lasem — droga, a za drogą widać szeroką rzekę.

Z mapy wypadało, że to już Wisła.

— Zająć obronę. Nawiązać łączność z sąsiadami.

Żołnierze poczęli kopać wnęki na skraju cienia ostatnich drzew. Dyżurni przy kaemach kopcili machorkę, gryźli suchary i z kieszeni wyciągali kwaśne jabłka zerwane w przydrożnych sadach.

Tymczasem kapitan zameldował dowódcy pułku o zajęciu obrony nad rzeką. Z pułku, przez sztab dywizji i korpusu, wiadomość dotarła do 8 Armii Gwardyjskiej i echem powróciła do batalionu w formie rozkazu:

— Natychmiast forsować!

Wystąpiło ośmiu ochotników: kapitan, sierżant, sześciu szeregowców. Obiecali, jeśli żywi przepłyną nie cofać się.

Chyłkiem, między kępami wikliny, przeskoczyli do brzegu. Piasek grzał bose stopy, chrzęścił pod nogami.

Huknęły batalionowe moździerze, cekaemy poczęły pruć seriami po milczących niemieckich okopach. Pod tą osłoną ośmiu weszło w wodę i popłynęło.

Pierwszy wylazł na zachodni brzeg Boczok, otrząsnął się z wody i wypalił, żeby sprawdzić, czy nie przemokły naboje. Za nim inni. Przylegli płasko, bo od czoła Niemcy już słali płaskie serie. Kapitan objął komendę, poderwał do ataku.

Zdobyli kęs okopu, ustawili erkaemy. W porę, bo już jakiś pluton ruszył na nich.

Odparli.

Dostali najpierw ogień z moździerzy, potem artyleryjski. Klęli i pluli piachem. Granatami ciskali w podpełzających. Myśleli: „Wytłuką nas tu". Ale z tamtego brzegu ogień ciągle narastał. W niemiecką obronę tłukły już ciężkie pułkowe moździerze i działa polowe. Potem stęknęły dywizyjne haubice.

Nie minęła godzina, jak na Wisłę spłynęły pontony i łodzie. Pod ogniem i bombami zaalarmowanej Luftwaffe przeprawiał się batalion.

O zmierzchu zdobyli nadbrzeżny pagórek. Dwa kilometry kwadratowe ziemi na lewym brzegu Wisły.

Nocą sforsował rzekę pułk, o świcie dywizja.

Jak powiadają, z dobrego nasionka wyrasta mocne drzewo. W pierwszych dniach sierpnia, choć nikt już dokładnie nie pamiętał, w którym miejscu wylazł z Wisły na wrogi brzeg starszy strzelec Boczok, przez rzekę wiodły na zachód trzy podziobane odłamkami mosty, a przed nimi od Pilicy po Radomkę trwał w kurzawie artyleryjskich wybuchów przyczółek. Od północy bronił go aż pod Warkę XXIX Korpus; od zachodu, osiodławszy w lesie drogę Warka—Kozienice, Korpus XVIII; od południa — skrajem lasu za wsią Studzianki i brzegiem Radomki aż do Wisły — czwarty. Stolicę tej nadwiślańskiej twierdzy stanowiło miasteczko Magnuszew.

Przyczółek nie atakował. Bronił się. Przez wąskie, wielokrotnie rwane bombami gardła mostów ledwo przepływał strumień amunicji, paliwa i żywności po-

trzebny mu do życia, do odpierania nieustannych kontrataków wroga.

Ale Oberkommando der Wehrmacht teraz już doskonale zdawało sobie sprawę, czym jest tych paręset kilometrów kwadratowych na lewym brzegu rzeki, która miała stać się ostateczną zaporą na drodze do Niemiec. Czym jest ta twarda odskocznia, z której drogi prowadzą wprost na Warszawę, na Łowicz i Kutno, Rawę Mazowiecką i Łódź, Piotrków i Częstochowę, Radom i Kielce...

W sztabie generała pułkownika Reinhardta zapadła decyzja: „Przyczółek musi być zlikwidowany".

W KWATERZE GENERAŁA VORMANNA

Generał Vormann, siedzący ze sztabem 9 Armii w Skierniewicach, był w sytuacji owego chłopa ze starego dowcipu, który miał przykrótką koszulę: co ją na ramiona naciągnie, to w tyłek chłodno.

Generał porucznik Nicolaus von Vormann, pięćdziesięcioletni, wysoki i szczupły mężczyzna z monoklem w oku, stanowił zewnętrznie charakterystyczny typ pruskiego dowódcy. W postępowaniu jednak brak mu było stanowczości, często zmieniał decyzje, a po ciężkich przeżyciach pod Korsuniem, gdzie był w lutym 1944 roku okrążony, miał, delikatnie mówiąc, tendencję do przeceniania sił przeciwnika.

Tak było i tym razem. Lękając się wyimaginowanych czterech korpusów pancernych, które jakoby lada moment miały uderzyć na Pragę, jeszcze 2 sierpnia kontratakował przyczółek magnuszewski siłami jednej zaledwie, 1132 brygady grenadierów. Dopiero ostra interwencja ze strony szefa sztabu 9 Armii, Helmuta Staedke, zdolnego, zaledwie trzydziestoszścioletniego generała majora, sprawiła, że pojął całą grozę sytuacji. Zwiad meldował o wciąż nowych oddziałach przerzucanych przez Rosjan na przyczółek. Jasne się stało, że 8 Armia Gwardyjska dołoży wszelkich starań, by ten teren utrzymać, a bronić się będzie z umiejętnością i uporem. Nazwi-

sko generała Czujkowa, który bronił Stalingradu, nie było Vormannowi obce.

Z rejonu na północny wschód od Pragi jako pierwszą przerzucono na lewy brzeg Wisły 19 dywizję pancerną. Poczęto również ściągać jednostki czołgowe SS z dywizji „Wiking" i „Hermann Goering". Rokossowski narzucił swą wolę przeciwnikowi: zgrupowanie na prawym skrzydle jego wojsk utraciło swą siłę uderzeniową, zagrożenie kontrataku na większą skalę przestawało być aktualne.

Tymczasem w Warszawie rozgorzało powstanie. Pierwszego już dnia po kilkunastu godzinach walk wiadome było, że jest to masowe i zorganizowane wystąpienie zbrojne, którego nie uda się zdławić siłami policyjnymi. Ze wszech stron Niemcy poczęli ściągać posiłki: pociąg pancerny nr 75, 4 wschodniopruski regiment grenadierów z Zegrza, 608 poznański pułk ochronny, brygady Dirlewangera z Olecka, a ze Śląska brygady RONA, pod dowództwem Kamińskiego, oraz szesnaście kompanii policji niemieckiej z Poznania.

Powstanie bardzo poważnie skomplikowało sytuację na froncie 9 Armii blokując na parę dni warszawskie przeprawy na Wiśle i wiążąc poważne siły wojskowe. Mimo to jednak 19 dolnośląska dywizja pancerna generała Källnera nie została wstrzymana i wykonując zaplanowany uprzednio manewr uderzyła na przyczółek magnuszewski. Spotkał ją gęsty, zorganizowany ogień przeciwpancerny, w którym załamały się parokrotne ataki czołgów.

Ten trzeciorzędny na pozór fakt, o którym najbardziej szczegółowe podręczniki historii drugiej wojny światowej wspomną zaledwie w paru wierszach drobnego druku, zmartwił generała Vormanna znacznie bardziej niż wiadomość o zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Niemcami przez Turcję,

o ataku pięciuset amerykańskich bombowców na rafinerie naftowe pod Bukaresztem i w Ploeszti, o „sądzie honorowym" nad generałami, podejrzanymi o udział w zamachu na Hitlera. Ba, nawet meldunki o sforsowaniu Wisły pod Sandomierzem przez wojska Koniewa i o powstaniu drugiego przyczółka „czerwonych" na lewym brzegu rzeki były mniej w tej chwili istotne dla 9 Armii niż upór Rosjan w obronie pod Magnuszewem. Półśrodki nie przyniosły rezultatu. Należało wkroczyć zdecydowanie i jednym chirurgicznym cięciem rozstrzygnąć sprawę, jak to od początku sugerował generał Staedke.

Vormann wezwał oficerów sztabu i słuchając meldunku szefa wydziału zwiadowczego sam pochylił się nad mapą. Wokół przepraw pod Skurczą i Tarnowem pstrzyły się dziesiątki strzałek oznaczających zmasowane bombowe ataki lotnicze, każdy kilometr kwadratowy terenu zajętego przez Rosjan pokrywały krążki i prostokąty artyleryjskich ogni, jak zadry tkwiły w ząbkowanej linii frontu zygzaki podejmowanych przez Wehrmacht ataków. Przyczółek jednak trwał.

Oficer zwiadu monotonnie wyczytywał z maszynopisu numerację ustalonych jednostek radzieckich, komentując:

— ...Od miesiąca bez przerwy w walkach, pozostało 40 procent stanu osobowego... Od dwu tygodni w boju, bataliony liczą 60 procent stanu osobowego...

— Jakie są rezerwy pancerne przeciwnika na przyczółku? — przerwał generał.

Oficer wymienił bardzo niewielką cyfrę.

— W najbliższym sąsiedztwie przyczółka?

— Według naszych danych — żadne.

— Przegrupować dywizję pancerną Waffen SS „Hermann Goering" pod Grójec. Natychmiast. Zachować ścisłą tajemnicę. Zapewnić osłonę lotniczą. Zadanie bojowe postawię dowódcy osobiście.

Dzień później przed budynkiem sztabu 9 Armii zatrzymał się o zmierzchu samochód pokryty maskującymi plamami. Wysiadło z niego dwu oficerów. Zakurzone płaszcze, kaptury i okulary oddali kierowcy. Spotkał ich dyżurny i wąskimi, mrocznymi schodami poprowadził do podziemnego schronu.

Mrużąc oczy weszli do pokoju oświetlonego rzędem silnych żarówek. Starszy zameldował się generałowi Vormannowi.

Dowódca Armii nie tracąc czasu na wstępne uprzejmości podprowadził ich do mapy.

— Przyczółek musi przestać istnieć. Zadaniem pańskiej dywizji jest przerwanie frontu i zablokowanie przepraw. Czekam propozycji co do miejsca i czasu uderzenia.

Tamten był przygotowany na pytanie. Z torby polowej wyjął ostro zatemperowany ołówek i wskazując nim odpowiednie fragmenty mapy referował:

— Z północy osłania ich Pilica. Uderzenie z zachodu, w kierunku Grabów — Magnuszew, odpychałoby przeciwnika w kierunku przepraw sprzyjając koncentracji jego odwodów. Poza tym pięć kilometrów za linią frontu, równolegle do Wisły, biegną przez cały przyczółek bagna i podmokłe łąki — poważne przeszkody dla moich czołgów... Na południu, od Wisły do Chodkowa, Rosjanie bronią się wzdłuż niewielkiej rzeczki Radomki. Forsowanie jej jest jednak utrudnione...

Oficer sztabu, towarzyszący dowódcy dywizji, podał mu szkic na przezroczystej kalce kreślarskiej, dopomógł przypiąć go na mapie.

— Proponuję — ciągnął dalej tamten — nanieść główne uderzenie z rejonu Grabnowola w kierunku: Studzianki — Wygoda, z zadaniem wyjścia na Magnuszew. Uderzenie pomocnicze: przez Chodków do drogi Ryczywół — Magnuszew. Droga ta biegnie aż do Mniszewa wzdłuż Wisły. Po jej opanowaniu przyczółek zostanie odcięty od przepraw i przestanie istnieć — powtórzył pierwsze słowa dowódcy Armii. — Proponowany termin rozpoczęcia natarcia: świt 10 sierpnia.

Na długą chwilę zapadło milczenie. Pokryte kalką linie frontu i naniesione według danych zwiadu stanowiska radzieckich batalionów, umocnień i baterii przeświturywały blado. Romby kompanii czołgowych i strzały wytyczające drogę planowanemu natarciu Waffen SS rysowały się ostro i zdecydowanie. Jak dwa pchnięcia bagnetu przebijały południowe żebro frontu do kręgosłupa rokadowej drogi* i wzdłuż dwudziestu kilometrów jej szwu pruły przyczółek od Wisły.

— Ma pan zamiar wyprowadzić jednocześnie oba uderzenia? — zapytał Nicolaus von Vormann.

— Nie, panie generale. Pomocnicze, z pewnym opóźnieniem. Liczę na to, że przeciwnik ściągnie odwody w stronę Studzianek i wówczas memu prawemu skrzydłu łatwiej będzie przerwać się przez las. Oba ugrupowania jednocześnie wyjdą na drogę.

---

* Droga rokadowa — droga równoległa do linii frontu.

— Czy możecie skrócić czas przygotowań do operacji?

— O sześć, osiem godzin.

— Rozpoczynajcie zatem atak w środę, dziewiątego wieczorem. Dostaniecie silne wsparcie lotnicze. Na waszym lewym skrzydle uderzy również 19 dywizja pancerna. Plan operacji zatwierdzam.

„HERMANN GOERING" WYPEŁZA NA POZYCJĘ WYJŚCIOWĄ

Cóż to za jednostka owa dywizja nazwana imieniem hitlerowskiego marszałka Luftwaffe? Jaka jest jej siła uderzeniowa? W jakich walkach brała ostatnio udział?

Przed paru dniami generał Vormann zezwolił generałowi Reinefarthowi (proszę nie mylić z Reinhardtem, przełożonym Vormanna), montującemu grupę uderzeniową przeciwko powstańcom warszawskim, skorzystać ze wsparcia jednej kompanii czołgów z dywizji „Hermann Goering". Kompania ta złożona z ciężkich maszyn T-VI, tak zwanych „Tygrysów", znajdowała się na zachodnich przedmieściach Warszawy.

5 sierpnia ulicą Wolską, osłaniane przez esesmanów, ruszyły trzy „Tygrysy". Ogromne, 56-tonowe potwory, ogniem dział rozwalały barykady, rujnowały domy. Załogi ich ukryte za pancerzem, którego grubość przekraczała dziesięć centymetrów, czuły się bezpieczne i bezkarne. Oprócz 88-milimetrowego działa każdy czołg uzbrojony był w dwa ciężkie karabiny maszynowe.

W sąsiedztwie młyna Michlera pierwszy z „Tygrysów" przystanął na sekundę, by oddać strzał. Powstaniec oddziału Armii Ludowej celnie rzucił przez okno granat na siatkę silnika. Wraz z hukiem wybuchu trysnął gęsty dym i płomienie.

6 sierpnia o godzinie 8.30 drugi „Tygrys" został zniszczony na rogu Młynarskiej i Górczewskiej przez oddział Armii Krajowej. Na bruku ulicy znieruchomiała góra okopconej stali. Gdyby ktoś zwyczajem myśliwych zmierzył tego martwego zwierza, stwierdziłby długość od końca lufy do ogona — 8,42 metra, szerokość — 6,20 metra.

Musimy jednak opuścić Warszawę i szybko przedostać się w pobliże szosy Grójec — Białobrzegi, gdyż zmrok zapada i dywizja rusza w kierunku przyczółka. Szkoda, że nie ma czasu, by opowiedzieć jej historię od początku wojny. W 1944 roku dywizja raczej wypoczywała, nabierała sił i ze względu na swą wysoką wartość bojową trzymana była w odwodzie przez dowodzącego Grupą Armii „C" we Włoszech, marszałka Kesselringa. Gdy alianci wylądowali pod Anzio, przesłoniła im drogę na Rzym. W kwietniu czuwała w rejonie Livorno, by zepchnąć w morze ewentualny desant. W maju, przerzucona spod Viterbo w okolice Valmonte, powstrzymała o dziesięć dni wojska generała Clarka i ustąpiła dopiero po podejściu II Amerykańskiego Korpusu. Żołnierze mają jeszcze na twarzach ciemnozłoty odcień opalenizny znad Adriatyku. Bardzo niedawno przybyli do Polski. Sądzę, że ponieważ słyszeli o szturmie Monte Cassino, musiało im się wydać dziwne, iż polskie dywizje krwawią w dalekich Włoszech, a o Warszawę toczą walkę radzieckie korpusy. A może niczemu już nie dziwili się po pięciu latach wojny? Duża część żołnierzy dywizji „Hermann Goering" miała za sobą paroletnie doświadczenie frontowe i dlatego też skierowanie na front wschodni przyjęli bez entuzjazmu. Nikt jednak nie sarkał — nymi żołnierzami Waffen SS, na których może liczyć byli członkami NSDAP, zdyscyplinowanymi i wier-

Führer i Grossdeutschland. Zresztą dysponowali doskonałą, najnowszą bronią, umieli się nią posługiwać. Diabła rogatego zje ten, kto się nawinie pod lufy Panzerfallschirmjaeger Division! 100 czołgów i 10 000 ludzi!

Cichutko... Z krzaków na wzgórku szosę widać doskonale. Warkot silników zbliża się coraz bardziej. Uwaga...

Motocykle zwiadu, samochody, znowu kilka motocykli, i teraz już sunie potężna, długa kolumna samochodowa.

W niepewnym świetle gwiazd wozy wyglądają jak czarne wycinanki z równą grzędą hełmów nad otwartym pudłem. Minęły nas już trzy bataliony, a teraz sunie artyleria pułkowa, moździerze...

Mała przerwa i znowu to samo, co widać było przed chwilą. Już wiadomo: w skład dywizji wchodzą dwa pułki zmotoryzowane.

Ucichło na kilka minut. Wzeszedł księżyc. Pojaśniało i prawie jednocześnie dał się słyszeć pomruk naszpikowany żelaznym chrzęstem — charakterystyczny odgłos pancernej kolumny.

Tych parę niewielkich czołgów na czele to T-III, obiekt mało ciekawy. Za nimi jadą 24-tonowe T-IV, uzbrojone w działo 75 mm i dwa karabiny maszynowe. Idą teraz z szybkością około 15 km/godz., ale potrafią wyciągnąć, kiedy trzeba, i „pięćdziesiątkę". Dużo jest jednakowych, ale już zbliżają się jakieś inne, ciężkie czołgi. Tę sylwetkę łatwo rozpoznać po bardzo długim, wysuniętym ku przodowi dziale 75 mm — to T-V, czyli „Pantera". Waży 45 ton, ale maksymalną szybkość ma nie niższą niż T-IV.

No i wreszcie nieco krótsze i powolniejsze od „Panter", ale potężnie opancerzone i uzbrojone w działa kalibru 88 mm, słynne T-VI, czyli „Tygrysy". Ciężar „Tygrysa" równy był wadze dwudzie-

stu słoni lub jeśli kto woli, dwudziestu pięciu nosorożców. Kolumnę zamykają działa pancerne: 22-tonowe „Artsturm" o kalibrze 75 mm i 70-tonowe, siedmiometrowej długości kolosy z działem 88 mm — „Ferdynandy", chronione pancerzem o grubości dwudziestu centymetrów. Jest ich chyba około dwudziestu. Część została w Warszawie i walczy z powstańcami.

Od początku tej pancernej defilady można było naliczyć ponad 100 czołgów. A piechoty na samochodach przejechało prawie 10 000.

Czy w sztabie 8 Armii Gwardyjskiej wiedzą, co się święci?

Pod niebem, w rozkołysanym porykiwaniu silników, idą Heinckle-111 i Junkersy-88 w kierunku przepraw na Wiśle. Kiedy zwalają swój wielotonowy ładunek, na horyzoncie błyska jak w czasie burzy i po chwili dobiega huk eksplodującego trotylu, choć to przecież stąd dobre 35 kilometrów.

Radzieckie samoloty działają raczej w dzień. Teraz przetrajkotał przed chwilą samotny, niepozorny „Kukuruźnik", skręcił wzdłuż szosy i zawiesił w powietrzu oświetlające rakiety. Widać je z daleka, jak opadają powoli na spadochronikach, ale zdaje się, że umknął im ogon kolumny.

Znowu szum silników. Kilkanaście samochodów krytych brezentem sunie bez świateł w tym samym kierunku. Ciągną niewielkie działka przeciwpancerne kalibru 37 mm i jeszcze inne, o długich, smukłych lufach... Są to zapewne 50-milimetrówki, w które Niemcy uzbrajają specjalne oddziały do walki z czołgami.

W samochodach gnał za swą dywizją batalion spadochronowy — trzystu hitlerowskich komandosów starannie dobranych z najodważniejszych żołnierzy frontowych, przeszkolonych specjalnie do walki

z czołgami, operacji desantowych i starć wręcz, doskonale wyposażonych w broń maszynową.

Czy w sztabie generała Czujkowa wiedzą cokolwiek o zamiarach przeciwnika?

Dowódca 9 Armii dotrzymał obietnicy — wsparcie ze strony Luftwaffe rozpoczęło się już we wtorek 8 sierpnia. Od 8.00 rano do 18.00 bez przerwy trwały naloty na przeprawy przyczółka. Wzięło w nich udział 260 Heinckli i Junkersów osłanianych starannie przez myśliwce. Oficerowie dywizji „Hermann Goering" przy akompaniamencie wybuchów bomb dokonywali przejmowania stanowisk od 45 dywizji piechoty. Z punktów obserwacyjnych w Mariampolu i Grabnowoli widać było kartofliska i łany przymiętego zboża, opadające lekko w stronę przeciwnika. Rosjanie okopani na skraju lasu nie przejawiali aktywności. Na nękający ogień dywizyjnych baterii odpowiadali z rzadka — być może, oszczędzali pocisków. Kaemiści leniwie postukiwali na prawym skrzydle, gdzie linia frontu biegła po piaskach porośniętych sosenkami i przywierała do gęstych, ciemnozielonych olszyn nad brzegami Radomki.

Przed wieczorem do sztabu dywizji nadeszła radosna wieść — rosyjski most pod Tarnowem został uszkodzony...

Nocą nastąpiło luzowanie — Panzerfallschirmjaeger Division poczęła wypełzać na stanowiska. Artyleria polowa i moździerze hałasowały na całej linii głusząc warkot czołgów. Gruchotały dyżurne cekaemy.

888 „turkiestański" batalion z brygady Własowa pozorował na skrzydle atak, by ściągnąć na siebie

uwagę. W tej „operacji osłaniającej" brały również udział: 17 dywizja piechoty, 976 batalion SS, 14 pułk piechoty i inne jednostki niemieckie przed frontem IV Korpusu 8 Gwardyjskiej Armii generała Czujkowa.

A tymczasem T-IV, „Tygrysy", „Pantery" i „Ferdynandy" wjeżdżały do przygotowanych okopów i milkły. Obsługi zaciągały sieci maskujące, uzupełniały paliwo, odrzucały zapasowe baki szykując wozy do jutrzejszego boju.

TYGRYSI SKOK

Nad ranem wszystko ucichło. Ciemne pancerze pokryła rosa. Ktoś grał na organkach tyrolskiego walczyka i melodia niosła się daleko. Kto wie, może nawet słychać ją było w rosyjskich okopach?

Ranek wstał jasny, przejrzysty. Zza Wisły wyjrzało słońce, poczęło się piąć w górę po bezchmurnym niebie. Powietrze było czyste, świeże i w lornetach zwiadowców ostro rysowały się drzewa studziankowskiego lasu — wśród sosen grupa jasnych modrzewi, między lipami, bukami i topolami krępe dęby kanadyjskie.

Spod Warki uderzyła ciężka artyleria. Dla orientacji rąbnęła parę pojedynczych szrapneli i przeszła na systematyczny ogień nękający. Tłukły w przeprawy „stopiątki" i „stopięćdziesiątki". Ciężkie moździerze poczęły ostrzeliwać drogi przyczółka. Robiło się coraz goręcej. Dowódcy plutonów i kompanii czołgowych, zebrani w dużej ziemiance sztabu dywizji, uzgadniali plany i sygnały współdziałania z oficerami batalionów piechoty i batalionu spadochroniarzy. Ocierając pot z czoła klęli upał.

Górą zawyły silniki bombowców — rozpoczynały na nowo robotę, gdyż rozpoznawczy Focke-Wulf doniósł, iż most pod Tarnowem został w nocy naprawiony przez radzieckich saperów. Znowu rwały się 500-kilogramowe bomby głusząc zajadły łoskot przeciwlotniczych baterii.

Naloty powtórzyły się jeszcze dwukrotnie — dopiero trzeci, najsilniejszy, rozerwał na nowo przęsło.

Koło południa upał stał się nie do zniesienia. Za przykładem rottenführerów i sturmanów szeregowi esesmani poczęli ściągać panterki z czarnymi naszywkami i koszule. Od rozpalonych czołgów bił taki żar, że nie sposób było wytrzymać w pobliżu. Układali się w cieniu krzaków, pod rozwalonymi ścianami wiejskich budynków i spoglądając w stronę lasu pogadywali leniwie o dobrych, włoskich czasach. Znad drzew wystawał suchy i samotny komin cegielni za Studziankami, przypominał o wyznaczonym na wieczór natarciu.

Wieczór nadchodził leniwie. Upał nie chciał zelżeć, a opadające słońce złośliwie czerwieniało drażniąc oczy. Wczesną kolację przyniesiono w termosach. Piechurzy i czołgiści bez apetytu jedli gorący i pieprzny gulasz. Tylko polska wódka, wyszabrowana przez zapobiegliwego kwatermistrza w jednym z podwarszawskich miasteczek, smakowała wszystkim — po alkoholu człowiek się mocno poci i to przynosi ulgę.

Słońce było jeszcze na dłoń od horyzontu, gdy nadleciały Stukasy i krwawo błyskając w skręcie runęły na las. Zwaliły bomby na Studzianki i folwark, na Wygodę i Chodków, zaczęły prać z kaemów i działek w okopy pierwszej linii. Ryknęła salwami artyleria, przeszła na szybki ogień.

Esesmani dojadając resztek gulaszu wkręcali zapalniki do ręcznych granatów, szykowali broń. Scharführerzy obchodzili kompanie, wydawali ostatnie rozkazy.

Czołgiści zrzucili siatki, zapuścili silniki. Dowódcy maszyn wyglądali przez włazy. Pod szum wentylatorów gwizdały radiostacje nawiązujące łączność.

W prostokątach peryskopów, w kręgach celowników las zasnuwały dymy. Kłęby kurzu oświetlone ostatnimi promieniami słońca wydawały się rude jak pokruszona cegła.

Ze strony Rosjan przyszła odpowiedź — artyleryjskie pociski poczęły rwać się wśród ocalałych zabudowań Grabnowoli, wzdłuż pierwszej linii niemieckich okopów z suchym trzaskiem pękały miny moździerzy. Niemcy pośpiesznie zatrzaskiwali włazy czołgów.

Znowu nadleciały samoloty i zasypały stanowiska IV Korpusu bombami. „Ferdynandy" z miejsca poczęły strzelać ogniem pośrednim — zużywały nadliczbowe, przywiezione na pancerzu pociski. Jednocześnie w słuchawkach radiowych usłyszeli głos dowódcy:

— *Achtung, achtung! Hier „Röselein", hier „Röselein" — vörwarts!* *

Mechanicy nacisnęli pedały gazu, czołgi porykując wylazły z okopów. Wielkie i groźne, nagle potoczyły się przez wykłoszone, nie zżęte żyto, biorąc rozpęd na pochyłości. Szły pewnie w opadający powoli dym wybuchów, a między nimi łańcuszki piechoty strzelającej w biegu z Bergmanów. Natarcie zaczynało się jak na pokazowych manewrach...

Ale to nie były manewry.

Na lewym skrzydle 35 dywizja radziecka osadziła czołgi ogniem zaporowym. Między domami Ignacówki buchnęły pierwsze kłęby dymu z płonących maszyn. Esesmani zalegli w życie i w lekkim przedzmierzchu rozgorzał pojedynek dział ppanc. z „Tygrysami" toczony ze zmiennym powodzeniem.

Na prawym skrzydle karabiny maszynowe 47 dywizji odcięły piechotę, przycisnęły ją do ziemi. Dwa

* Uwaga, uwaga! Tu „Röselein" („Różyczka") — naprzód!

plutony T-IV doszły co prawda do linii rosyjskich okopów, ale pozbawione osłony, zaplątane między krzaki, cofnęły się po pierwszych wybuchach granatów, tracąc dwa wozy bojowe.

Po tych meldunkach na stanowisku dowodzenia esesmańskiej dywizji zapanowało milczenie. Poczynało już zmierzchać, a poza tym w centrum przesłaniała widok obła wypukłość wzgórza 132,1. Nagle w głośniku zachrobotał głos dowódcy kompanii czołgów T-IV.

— Przełamałem front. Podchodzę do skrzyżowania dróg w Studzianki-dorf. Piechota walczy wśród zabudowań wsi.

Właśnie owo wzgórze, które utrudniało obserwację sztabowi, oznaczone na mapie cyfrą 132,1, dopomogło nacierającym Niemcom. Widocznie pocisk artyleryjski zmiótł wysuniętą tu czujkę i czołgi osłonięte garbem pojawiły się niespodzianie tuż przed radzieckimi okopami. Na dodatek trafiły w czułe miejsce obrony — styk 35 i 47 dywizji piechoty.

Dziesięć minut po otrzymaniu meldunku ruszyła w wyłom silna grupa uderzeniowa: dwa plutony „Tygrysów", kompania T-IV, dywizjon „Ferdynandów", batalion spadochronowy w centrum i dwa bataliony piechoty zmotoryzowanej, osłaniając skrzydła. Dowódcy tych batalionów dostali zadanie wydzielenia po kompanii w lewo i prawo, które atakując wzdłuż okopów rozszerzyłyby wąską gardziel przerwanego frontu. Za piechotą pchnięto dywizjon dział polowych 75 mm, a lekka bateria pancerna ruszyła w drugim rzucie osłaniając transportery, cysterny, jednostki tyłowe i kuchnie.

Zapadła noc rozszarpywana błyskami armatnich wystrzałów, zaplątana w sieci smugowych kul i pocisków, wypełniona łoskotem i hukiem bitwy. W nocy tej rodził się już specyficzny ład walki, jaki, zda-

niem hitlerowców, winien niezmiennie panować tam, gdzie naciera Waffen SS. Nadchodziły dalsze meldunki:

— Batalion spadochroniarzy zdobył folwark.

— Piechota blokuje cegielnię.

— Czołgi wyszły na zachodni skraj Studzianek. Przeciwnik prowadzi silny ogień z północy. Droga na Łękawicę broniona przez artylerię ppanc.

Dowódca dywizji rozkazał:

— *Hier „Röselein", hier „Röselein"*... Przegrupować prawe skrzydło i o 22.00 ruszyć od krzyża przesiekami na wzgórze 112,2. Stamtąd uderzyć na Wygodę. O świcie osiodłać drogę Ryczywół — Magnuszew.

Dalsze meldunki doniosły o dotarciu całej grupy szturmowej w rejon Studzianek, lecz kompanie atakujące na skrzydłach nie miały sukcesu: zza każdego załamania okopu witał je granat, zza każdego pnia błyskały serie automatów. Gardziel przerwanego frontu pozostawała wąska jak przełyk wieloryba. Nie miało sensu wpychanie w nią nowych pododdziałów — zbyt wielka koncentracja stanowiłaby łakomy cel dla rosyjskiej artylerii i lotnictwa. Zresztą gdy tylko czołgi zajmą Wygodę, przeciwnik sam wycofa się z worka lub zginie w nim odcięty ze strony Chodkowa.

O 21.40 artyleria dywizji przeczesała pociskami las od krzyża do wzgórza 112,2, a punktualnie o 22.00 przeniosła ogień na Wygodę.

O 22.20 sturmbannführer dowodzący grupą pierwszego rzutu nadesłał szyfrowany radiogram. Szef łączności podał go bez słowa dowódcy. Tamten szybko przebiegł oczyma dwa rzędy liter i rozkazał:

— Wesprzeć go dwoma plutonami „Tygrysów" i powtórzyć atak. Za wszelką cenę muszą przerwać się na Wygodę.

Potem wyciągnął rękę:

— Ołówek!

Oficerowie sztabu dywizji SS „Hermann Goering" patrzyli w milczeniu, jak ich dowódca przy świetle latarki wrysowuje w zielone tło lasu na zachód od wzgórza 112,2 ostre romby czołgów przeciwnika i stawia przy nich duży znak zapytania. Skąd, *zum tausend Teufel,* wylazły te czołgi?

PRZECIWNIK PANZERFALLSCHIRMJAEGER DIVISION...

Alarm poderwał ich w nocy z 30 na 31 lipca. Ruszyli przez Kurów pod Puławy, w ciągu trzech godzin skoczyli 50 kilometrów na Zachód.

Cztery dni później przyszły pierwsze, niepewne wieści o powstaniu w Warszawie.

6 sierpnia Brygadę przerzucono ku północy pod Łaskarzew.

8 sierpnia dowiedzieli się, że idą na przyczółek. Radość ogarnęła ludzi: „Na przyczółek? Dobra nasza. Jasne, że stolicy nie będzie się brać od czoła, a właśnie sierpowym ciosem z przyczółka". Radośnie było ludziom na duszy i trwożnie: czy potrafią stanąć w bitwie, jak Polakom przystało? Czy wielu w tym pierwszym boju spłonie pod przebitym pancerzem?

Całą noc gotowali się jak do ślubu: czyścili, sprawdzali, usuwali z wozów wszystko, co zbędne, co nie służy bezpośrednio walce. Nawet bimbrownie, precyzyjne a przemyślne konstrukcje służące do pędzenia samogonu z ziarna, kartofli czy buraków, słynne bimbrownie pancerniackie ciskano w krzaki.

Rankiem 9 sierpnia 1 Brygada Pancerna im. Bohaterów Westerplatte rozpoczęła przeprawę.

Pierwsze podeszły do rzeki czołgi dowództwa 1 pułku. Niskie słońce oświetlało most pod Tarnowem. Z przyczółka sunęły jeszcze ostatnie sanitarki z ran-

nymi, w przeciwległą stronę kłusowali piechurzy uginając się pod własnym uzbrojeniem i skrzynkami z amunicją. Saperzy naprawili zbombardowane przęsło dopiero w nocy i przerzuty jednostek uległy opóźnieniu.

Niemiecka artyleria biła nieregularnym ogniem nękającym. Pociski rwały się na brzegu, wyszarpywały wysokie fontanny wody z Wisły oblewając biegnących żołnierzy i samochody. Jakiś odłamek trafił w silnik sanitarki. Błyskawicznie wyciągnięto nosze z rannymi, a saperzy mimo protestów szofera zwalili samochód do rzeki likwidując twardniejący „korek".

Wśród tego rejwachu i harmidru chodził powoli siwy inżynier, podpułkownik Armii Radzieckiej, i wydawał rozkazy. Do niego, do komendanta przeprawy, zgłosili się nasi czołgiści.

— Wykluczone — uciął z miejsca. — Belki pocięte odłamkami, filary rozchybotane od uderzeń bomb. Most nie wytrzyma...

— Mamy rozkaz. Musimy!

— No to jedźcie, na waszą odpowiedzialność — machnął ręką i przymknął czerwone od niewyspania oczy.

Z lasu wypełzł czołg dowódcy 1 pułku. Dowódca maszyny, ppor. Adolf Szczepanik, siedział na wieży, pokrzykiwał na piechurów, żeby dali miejsce. Przed mostem mechanik przyhamował i delikatnie, na pierwszym biegu, poprowadził tank. Skrzypnęły belki, drgnął cały most, ale wóz przeszedł. Za nim, na czołgu szefa sztabu, przeprawił się ppor. Lisiecki. Trzeci ruszył dowódca plutonu zwiadu, ppor. Wacław Feryniec, ale zaraz, może o dziesięć metrów od brzegu, trzasnęła nawierzchnia i T-34 tyłem osunął się w płytką wodę zadzierając lufę ku niebu.

Ze względu na poczucie przyzwoitości czytelników nie zacytuję w tym miejscu wypowiedzi komendanta

przeprawy. Na czołg rzucono siatkę maskującą i saperzy biegiem ruszyli wyciągać maszynę.

Nadleciały samoloty. Zaczęło się piekło. Po trzecim masowym ataku bombowym most został znowu przerwany.

Rozkaz generała Mierzycana skierował nadciągającą 1 kompanię 1 pułku bardziej na południe, gdzie w rejonie wsi Bączki pracował prom o nośności 100 ton. Dowodził nim sierżant Paweł Czyczyn, a kutrem holującym sterował sierżant Iwan Soroka, robociarz leningradzki, odznaczony „Czerwonym Sztandarem" za forsowanie Dniepru.

Oba te nazwiska doskonale pamiętają czołgiści Brygady — podczas załadunku i prawie godzinnej przeprawy pod ogniem artylerii i bombami był czas, by się zapoznać i zaprzyjaźnić. We frontowym życiu, gdzie „trzy ćwierci do śmierci", często godzina zastępuje miesiąc.

Tuż po południu przewieziono promem pierwsze dwa czołgi 1 kompanii, którą dowodził kapitan Wiktor Tiufiakow. Wpełzły na piaszczystą mieliznę, w wytryskach wody przeskoczyły w bród płytką łachę i porykując wygramoliły się niczym słonie z kąpieli na tamten brzeg. Za nimi po brzuch w wodzie przeszedł pluton fizylierów i ppor. Józek Kot, zastępca Tiufiakowa do spraw politycznych. Skryli się wraz z tankami za wysokim wałem przeciwpowodziowym wysadzanym topolami, utonęli w zieleni wierzb.

Nieco dalej w prawo i w głębi czerniał krzyż na kościele w Magnuszewie, kryty czerwoną, postrzelaną dachówką. Prześwitywały dachy domków.

— Warto by zapisać — zażartował jeden z czołgistów — historyczna przeprawa odbywa się na 438 kilometrze Wisły...

Prom przybił do pomostu i znowu wpełzły nań dwa czołgi. Najpierw jeden przystanął pośrodku rufy, potem drugi wcisnął gąsienicami dziób w wodę, a ten pierwszy jednocześnie pomalutku przesuwał się ku burcie. W celu zrównoważenia pontonów musiały stanąć skośnie jak dwa czarne piki na karcianej dwójce. Tuż za nimi władował się drugi pluton fizylierów i obsługa rusznicy ppanc.

* * *

W tym czasie dowódca Brygady przejechał swym Willysem na drugi brzeg po podwodnym moście. Woda szorowała przez nawierzchnię, dziesięciocentymetrową warstwą osłaniając przeprawę przed pociskami i bliskimi nawet wybuchami bomb. Celowo w ten właśnie sposób zbudowali ją saperzy.

O godzinie 15.00 generał Mierzycan przybył do sztabu IV Korpusu. Ponieważ nie można było szybko przerzucić całej Brygady na lewy brzeg, zaniechano poprzedniego projektu, który przewidywał, że jednocześnie 1 pułk obsadzi przedni skraj obrony, a 2 zajmie pozycję ryglową na linii Łękawica — Sucha Wola — Basinów — Wygoda. Postanowiono nie zwlekając wprowadzać czołgi kompaniami na dywizyjne odcinki obrony. Ustalono ogólne sygnały, zasady współdziałania i mp dowódcy Brygady.

Kiedy już wszystkie oficjalne sprawy zostały zakończone, padło delikatne stwierdzenie zawierające jednocześnie elementy pytania:

— Posiadacie, towarzyszu generale, wysokie radzieckie odznaczenia bojowe i doskonale mówicie po rosyjsku.

Mierzycan uśmiechnął się.

— Mój ojciec był łódzkim robotnikiem. Wykonując polecenie partii zastrzelił carskiego żandarma

i został zesłany na Syberię. Ja jestem łódzkim sybirakiem czy sybirskim łodzianinem, jak wolicie... A to — wskazał ręką na baretki orderów — za dowodzenie brygadą pancerną w bitwie pod Orłem... Wyślijcie zatem oficera łącznikowego z 47 dywizji piechoty do Łatkowa i jak tylko 1 kompania sforsuje Wisłę, niech ich prowadzi na pozycje.

Aby lepiej zrozumieć sytuację, musimy cofnąć się w czasie o parę dni.

W końcowej fazie Operacji Białoruskiej, gdy naczelne dowództwo Armii Czerwonej wydało rozkaz przerwania obrony niemieckiej pod Kowlem, marszałek Rokossowski dostał pod swe rozkazy nową pełnokrwistą, nie używaną jeszcze w bojach armię. Artyleria jej w składzie pięciu brygad (jedna armat 122 mm, dwie brygady haubic 122 mm, jedna przeciwpancerna i jedna armat-haubic 152 mm) wzięła udział w przełamaniu frontu. Pozostałe jednostki — cztery dywizje piechoty, brygada kawalerii, brygada pancerna, brygada saperów, dywizja artylerii przeciwlotniczej i mieszana dywizja lotnicza — weszły do walki na linii Wisły. Armią tą była 1 Armia Wojska Polskiego licząca w swych szeregach 57 000 ludzi.

Po parodniowych bojach pod Puławami i Dęblinem, dnia 6 sierpnia, dowódca Frontu przegrupował 1 Armię w rejon magnuszewskiego przyczółka celem rozwinięcia powodzenia uzyskanego na tym odcinku.

W tym samym czasie oddział zwiadowczy sztabu Frontu ze zdjęć lotniczych dokonanych nocą przez pewien niepozorny samolot Po-2, zwany powszechnie „Kukuruźnikiem", odczytał niepokojące dane. Cienie na szosie Grójec — Białobrzegi rozszyfrowano jako „Tygrysy" i „Ferdynandy". W kręgu zakreślonym światłem naliczono ponad 1000 ton pancernej stali.

Ponieważ w polskim klimacie tygrysy nie biegają co noc po szosach, a i Ferdynanda niełatwo spotkać na Mazowszu, powstało przypuszczenie, o którym szef sztabu natychmiast zameldował Konstantemu Rokossowskiemu.

Przypuszczenie to potwierdziło się niespodzianie szybko — zwiadowcy 35 dywizji piechoty z nocnej wyprawy po języka w rejon Mariampola przywiedli w nocy z 7 na 8 sierpnia sturmana-motocyklistę, który miał przy sobie papiery należące do Panzerfallschirmjaeger Division Waffen SS — „Hermann Goering"... Jeniec trzymał się hardo, milczał, ale nazwa jednostki, z której pochodził, mówiła dostatecznie dużo.

Generał Czujkow zwrócił się do dowódcy Frontu z prośbą o wsparcie swych wojsk jedną z odwodowych jednostek pancernych. Jednocześnie w sztabie 8 Armii Gwardyjskiej oficer operacyjny, specjalista od niemieckich regulaminów, usiłował nanieść na mapę prawdopodobny kierunek uderzenia wczuwając się w zamiary i możliwości przeciwnika. Jego zdaniem atak winien nastąpić na odcinku Studzianki — Chodków, o świcie 10 sierpnia.

„Bezrobotnych" radzieckich czołgów w pobliżu przyczółka nie było. Na wycofanie jakiejś jednostki z walk i przerzut brakło czasu. Najbliżej znajdowała się 1 polska Brygada Pancerna im. Bohaterów Westerplatte — dzieliło ją od przeprawy na Wiśle zaledwie 12—15 kilometrów.

Rozkazem dowódcy Frontu 1 Brygada przeszła spod rozkazów dowódcy 1 Armii do dyspozycji generała Czujkowa, a ten z kolei przydzielił ją dowódcy IV Gwardyjskiego Korpusu, którego dywizje broniły najbardziej zagrożonego odcinka frontu.

Nie wiem, jak oficerowie sztabu Korpusu zareagowali na tę wiadomość, ale nie sądzę, by byli nią za-

chwyceni. Woleliby zapewne współdziałać z jakąś inną, znaną sobie i doświadczoną w bojach jednostką; z pułkami radzieckiej dywizji pancernej, z którymi nieraz już chodzili do natarcia i trwali w obronie. Czy ta nieostrzelana brygada polskich „sojuszników" ustoi przeciw „Tygrysom" i „Ferdynandom" starych wyjadaczy z „Hermann Goering" Division? Czy to są żołnierze odważni, czy tchórzliwi? Czy trudno się będzie z nimi dogadać po rosyjsku? Podobno noszą dziwne, rogate czapki i komenda „Rawniajs" brzmi u nich „Pan za pana chowaj się..."

Dowódca IV Korpusu połączył się telefonicznie z dowódcą polskiej jednostki. W słuchawce zameldował się, sądząc z głosu, człowiek energiczny, władczy i stary frontowiec:

— Generał brygady Jan Mierzycan...

Ustalono, że polskie czołgi rozpoczną przeprawę jutro, tzn. 9 sierpnia rankiem, przez most pod Tarnowem, a koło południa generał Mierzycan zamelduje się w sztabie Korpusu w celu ustalenia zasad współdziałania.

Tymczasem zapadł wieczór i ponieważ noc jeszcze dzieli nas od terminu przeprawy, możemy powiedzieć parę słów o jednostce, która nosi miano odważnej załogi Westerplatte.

Gdy w Sielcach pod Moskwą poczęła się formować 1 Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, rozkazem nr 1 z dnia 15 maja 1943 roku, podpisanym przez generała Zygmunta Berlinga, powołano również do życia 1 pułk czołgów. Na pierwszej zbiórce owego pułku oprócz sierżanta-szefa stanęło sześciu żołnierzy. Po dwu miesiącach, a ściśle 20 lipca, gdy mechanicy radzieccy dostarczyli sprzęt dla pułku — nowiutkie, wprost z fabryki czołgi T-34 — było już znacznie więcej kandydatów na przyszłych

towarzyszy pancernych. Starano się ich dobierać spośród ochotników posiadających jakieś techniczne lub choćby rzemieślnicze wykształcenie, większość jednak stanowili ludzie ze wsi i małych miasteczek. Przedwojenna Polska była krajem raczej obfitującym w konie niż w technikę, a nieliczne kadry ocalałych po Wrześniu pancerniaków, którzy znaleźli się w ZSRR, zabrał na Środkowy Wschód generał Anders. Najlepszych spośród żołnierzy 1 pułku skierowano do Szkoły Oficerskiej Broni Pancernej w Rybińsku, gdzie dniem i nocą wkuwali niełatwe arkana sztuki prowadzenia czołgów do boju.

Niemniej jednak do bitwy pod Lenino poszedł 1 pułk czołgów w pełnym składzie: kompania dowodzenia, 1, 2 i 3 kompanie czołgów T-34, kompania czołgów T-70, kompania fizylierów, kompania rusznic ppanc., kompania technicznego zaopatrzenia, drużyna gospodarcza i punkt pomocy sanitarnej.

Gdy rozpoczęto formować 1 Korpus Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR (19 sierpnia 1943 roku Związek Patriotów Polskich uzyskał na to zgodę od rządu radzieckiego), narodziła się 1 Brygada Pancerna. W skład jej weszły: dowództwo Brygady, kompania sztabowa, 1 pułk czołgów (już sformowany), 2 pułk czołgów (tak samo zorganizowany jak 1 pułk czołgów), dywizjon artylerii pancernej (SU-85), batalion zmotoryzowanej piechoty.

Na przyczółek magnuszewski miała wkroczyć Brygada bez dyonu artylerii pancernej, który jako odwód pozostawał w dyspozycji dowódcy 1 Armii WP.

Ponieważ jednak nie wszyscy czytelnicy orientują się w organizacji wojsk pancernych, a ci, którzy się orientują, wiedzą, że pułk pułkowi nierówny, wypa-

da cyframi określić siłę 1 Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte.*

Jądro jednostki stanowiło 71 średnich czołgów T-34 o wadze 30 ton, uzbrojonych w działa 76 mm, 2 karabiny maszynowe i 1 pistolet maszynowy. Załogę w ich odróżnieniu od niemieckich T-IV, „Panter" i „Tygrysów" stanowiło nie pięciu, lecz czterech ludzi. Szef sztabu armii hitlerowskiej, generał Heinz Guderian, określił je jako „znakomite". **

15 lekkich, 10-tonowych czołgów T-70, uzbrojonych w działko 45 mm i 1 karabin maszynowy, spełniało funkcje zwiadowcze i łącznikowe wspólnie z 6 samochodami pancernymi i 17 motocyklami.

Transport brygady stanowiło 180 samochodów ciężarowych, 10 sztabowych i 26 specjalnych (cysterny, warsztaty itp.).

Batalion zmotoryzowanej piechoty dysponował bronią ciężką w ilości 4 działek ppanc., 6 moździerzy 82 mm, 49 rusznic ppanc., 24 cekaemów (w tym 9 przeciwlotniczych) i 42 erkaemów.

Ogółem wszystkie oddziały Brygady mające wziąć udział w bojach na przyczółku liczyły ponad 2000 ludzi, około 1000 karabinów, 700 automatów, 223 karabiny maszynowe i 90 armatnich luf (naturalnie prawie wyłącznie czołgowych). Była to siła wystar-

---

* Podaję bez dyonu art. panc., który nie brał udziału w walkach na przyczółku.

** W swych pamiętnikach pisze:

„Propozycja oficerów frontowych, aby celem jak najszybszego poprawienia nadzwyczaj ciężkiej sytuacji niemieckich wojsk pancernych po prostu skopiować rosyjski czołg T-34, nie znalazła oddźwięku u konstruktorów... z powodu niemożności wyprodukowania w krótkim czasie podstawowych części składowych rosyjskiego T-34, a w szczególności jego aluminiowego silnika dieslowskiego" (H. Guderian, „Wspomnienia żołnierza", s. 226 wydania polskiego).

czająca, by walcząc wspólnie z piechotą radziecką na umocnionych pozycjach obronnych powstrzymać nacierającą dywizję „Hermann Goering", istniało jednak parę dość poważnych „ale"...

Po pierwsze, w broni pancernej, w znacznie większym stopniu niż np. w piechocie, decydują umiejętności załóg i doświadczenie. Mechanik ukryty pod pancerzem T-34 trzyma w cuglach 450 koni mechanicznych, które w dobrych rękach cwałują posłusznie i rozpędzają 30 ton pancernej stali do 50 kilometrów na godzinę.

„Radzik" jest w jednej osobie dyrektorem i personelem rozgłośni. Jeśli nie da sobie rady z obsługą sprzętu — czołg głuchnie. A przecież ten chłopak ma nie tylko utrzymać łączność, lecz z szybkością stu kul na minutę pruć z kaemu, oczyszczać drogę przed czołgiem.

Dwaj ludzie przy dziale — dowódca i wieżowy — mogą w ciągu kwadransa rozłupać stu pociskami sto celów lub też... ani jednego, jeśli dadzą się ubiec przeciwnikowi o ułamek sekundy.

Kto widział początkujących czołgistów na ćwiczeniach, ten wie, że „żółtodzióby" potrafią w ciągu pół godziny „posadzić" cały pułk w pierwszym lepszym błocie i uczynić go niezdolnym do walki. A z drugiej strony, jak ogromną siłę stanowi choćby 10—15 czołgów, wiedzionych przez doświadczone załogi, uderzających wraz z piechotą. Głowy nie dadzą wytknąć z okopu, rąbią wprost w twarz z dział i kaemów, ziemia drży pod ich gąsienicami i razem z ziemią poczynają drżeć serca obrońców.

Otóż po tym, być może, przydługim wstępie trzeba szczerze powiedzieć, że w Brygadzie było niewielu doświadczonych czołgistów: paru Polaków, którzy walczyli na froncie w szeregach Armii Czerwonej,

oraz kilku Rosjan — oficerów i podoficerów — z długą i dobrą praktyką. Ogólnie jednak mechanicy-kierowcy naszej Brygady rozpoczynali dopiero karierę pancerniaków i ich doświadczenia nie przekraczały pięćdziesięciu godzin prowadzenia wozu. W ogniu byli tylko ci, którzy z 1 pułkiem brali udział w bitwie pod Lenino.

Dość rozpowszechnione w swoim czasie mniemanie, że w polskiej Brygadzie było niewielu Polaków, jest niezgodne z prawdą. Ze 100 oficerów 1 pułku czołgów 84 pochodziło z Polski, a wśród 412 podoficerów i szeregowców było zaledwie 71 obywateli ZSRR — Rosjan, Ukraińców i Białorusinów. W 2 pułku procent ten był jeszcze mniejszy.

Sytuację naszych czołgistów utrudniał ogromnie czynnik „miejsca i czasu" — jeszcze wczesnym rankiem 9 sierpnia Brygada znajdowała się na prawym brzegu Wisły, a natężenie działalności hitlerowskiego lotnictwa w ciągu ostatnich dni nie pozwalało rokować spokojnej przeprawy. Poza tym wszystkie mosty znajdowały się w zasięgu ciężkiej artylerii wroga.

Po trzecie wreszcie pozostawało niezwykle mało czasu na ustalenie zasad współdziałania z radziecką piechotą. Własny zmotoryzowany batalion był nieostrzelany i doświadczeniem frontowym na pewno ustępował esesmanom, zwłaszcza zaś doborowemu batalionowi spadochroniarzy. Dopiero walka miała stać się egzaminem wartości bojowej i szkołą młodych żołnierzy...

Przeprawa została spostrzeżona. Czy to któryś z pilotów bombardujących most dojrzał prom, czy wyśledził ją samolot rozpoznawczy, dość, że na brzeg i w wodę poczęły padać pociski artyleryjskie, a wkrótce nadleciały Stukasy.

Zaporowy ogień przeciwlotniczy odepchnął je znad rzeki, nie pozwolił na niskie nurkowanie, ale Brygada poniosła pierwsze krwawe straty: odłamki ciężko raniły jednego z mechaników czołgowych i kierowcę ciężarówki z amunicją, pokaleczyły czterech strzelców rusznic przeciwpancernych prowadzących ogień do szturmowców. Ranna została również telefonistka z kompanii dowodzenia, szeregowiec Szymańska, lecz pozostała na swym stanowisku u przeprawy.

Jeszcze ostatnie bomby wyły w powietrzu, odłamki siekły gałęzie z sosen, gdy wlokąc kłąb kurzu podjechał „łazik" kapelana 1 Armii.

Księdza Kubsza lubiano w Brygadzie — rozsądny i dobry to był człowiek, odważny żołnierz z poleskiej partyzantki. Kiedyś, jeszcze na Smoleńszczyźnie, ksiądz zgadał się z Malinowskim, leniwym strzelcem-radiotelegrafistą z 3 kompanii 2 pułku, opowiedział mu o śmierci brata, z którym w jednym oddziale wojowali. Trzeba przyznać, że po tej rozmowie Malinowski jak by się odmienił — szedł na ochotnika do każdej pracy, dawał innym przykład.

Kapelan wysiadł z samochodu, grzęznąc w sypkim piasku wszedł na pagórek i krzyżem błogosławił przeprawę.

Bezustannie wyły górą ciężkie pociski.

Załadunek trwał pod ostrzałem.

— Szybciej!

— Dawaj, dawaj!

Jeden z czołgów zbyt szybko wjechał na prom i nim wyhamował, już siedział w wodzie na głębokości prawie trzech metrów. Szczytem wieży blokował wyjście na Wisłę. Momentalnie ktoś się rozebrał, skoczył do rzeki i zaczepił hol. Próbowano wyciągnąć czołg jednym, potem dwoma wozami — nie drgnął nawet.

— Przecież on ma włączony bieg!

— Co robić?

Wyjście z sytuacji znalazł por. Frydrych: zebrał karbowane rury z paru masek gazowych, połączył je, wkręcił do swojej zamiast pochłaniacza i w tym zaimprowizowanym stroju nurka wszedł na basztę czołgu. Przez górny właz dostał się do wnętrza, wyszarpnął drążek.

Kiedy się wynurzył, ruszyły czołgi holujące i wyciągnęły zawalidrogę.

Po paru minutach prom wypłynął w następny rejs.

NOCNY BÓJ 1 KOMPANII

W dniu tym słońce zaszło o godzinie 19.13. Chwilę później kompania kapitana Tiufiakowa, z radzieckim przewodnikiem na pancerzu wiodącego czołgu, ruszyła z Łatkowa drogą przez Ostrów na Wygodę. Nad frontem wirowały błyszczące sylwetki samolotów i grzmiało jak na burzę. Oficer łącznikowy niepokoił się i klął.

— Czto tam działajetsa? Nieużeli, sukinsyny, poleźli w ataku?! Dawajtie skorej, bratcy-Polaki, nażymajtie żelezku...

Droga była dobra, więc czołgi zwiększyły odstępy i poszły ostro wyciągając ponad „czterdziestkę". Wiatr znosił kurz ku Wiśle.

Przed 8.00 w zapadających ciemnościach dotarli do Wygody. Po prawej stronie nieustannie terkotały kaemy i trzaskały działa. W stronę przepraw szły grupki rannych majacząc białymi plamami bandaży. Sanitariusze dźwigali kogoś na noszach.

Zamigotało zielone światło kieszonkowej latarki. Na drogę wybiegło trzech w hełmach i z granatami u pasów.

Oficer łącznikowy zatrzymał czołg Tiufiakowa i zeskoczył na ziemię.

— W samą porę — wołali tamci. — Tanki przerwały nasz front.

— Dawajtie, rebiata — oficer łącznikowy zwrócił się do podbiegającego Tiufiakowa. — Trzeba natych-

miast blokować skrzydła. Ja poprowadzę do naszej piechoty.

O 21.00 czołgi 1 kompanii były już na stanowiskach. Załogi przy pomocy radzieckich żołnierzy z odwodu 140 pułku okopywały wozy na skraju dróg i przesiek leśnych, pośpiesznie ustalano sygnały i sposoby wskazywania celów. W wykopach pod płaskimi brzuchami tanków organizowali swe „ka-pe" * dowódcy plutonów kompanii piechoty. Zadanie brzmiało: „Nie dopuścić do przerwania się przeciwnika na wzgórze 112,2 oraz na Wygodę".

Wygodę pamiętali z przejazdu — parę pustych domków bez szyb w oknach i dymu nad kominami. Płaskie wzgórze mieli gdzieś za sobą ukryte w lesie. Przeciwnik, niewidoczny za ścianą sosen, hałasował niedaleko przed nimi.

Trzeba przyznać, że nie czuli się zbyt pewnie: przybyli tu w ciemnościach, nie znali sił wroga, nie czuli osłony na skrzydłach. Kapitan Tiufiakow chodził od jednej maszyny do drugiej i jako najdoświadczeńszy klarował swym śpiewnym głosem:

— My mamy pietra, ale Niemiec jeszcze większego. Najważniejsze, że on o nas nie wie, nie przeczuwa, że dostanie ogień w ślepia...

Podporucznik Kot sekundował dowódcy:

— Warszawa w ogniu. Czekają tam na nas. Musimy spuścić manto esesmanom. Ja tu będę koło naszych wozów i dopilnuję, żeby nie podleźli blisko ci z pancerfaustami...

Przed 22.00 poczęła bić na oślep niemiecka artyleria. Czołgiści skryli się za pancerzem, zatrzasnęli włazy, a piechota przywarła do ziemi w okopach.

---

* Z rosyjskiego „komandnyj punkt" — stanowisko dowodzenia.

Granaty targały drzewa czyniąc jednak więcej huku niż szkody.

Punktualnie o 22.00 pociski przestały wybuchać, a w lesie rozległy się pokrzykiwania i warkot motorów. Po stali zadzwoniły pierwsze, przypadkowe serie cekaemów. W peryskopach zamajaczyły ruchome, ciemne pagórki hitlerowskich czołgów. Parę sekund terkotała jeszcze tylko broń maszynowa i naraz huknęło kilka wystrzałów działowych. Nie sposób stwierdzić, czyj pocisk był celny, lecz nagle skoczył w górę wiśniowy kłąb ognia — płonął jeden z niemieckich wozów. Granaty odłamkowe wymiotły esesmanów z przesieki.

Upłynęło kilka długich minut, nim ci, dla których ten bój stanowił dziewiczy występ frontowy, zrozumieli, że to już, że po raz pierwszy w życiu odparli atak wroga. Zdziwili się: „Więc to tak łatwo?"

Przerwa nie trwała jednak długo. Na polsko-radzieckie stanowiska znowu wyszedł atak w sile około batalionu wsparty kompanią czołgów i baterią strzelającej na wprost artylerii polowej. I znowu załamał się w krzyżowym ogniu, potoczył wstecz w świetle dwu płonących ciągników...

Ogółem do godziny 8.00 rano 10 sierpnia 1 kompania 1 pułku czołgów odparła pięć niemieckich ataków niszcząc jednego „Tygrysa", dwa T-IV, dwa ciągniki i dwa działa, około dziesięciu karabinów maszynowych. Straty wroga wyniosły 170 żołnierzy.

W czasie porannego ataku, kiedy już było widno, kompania straciła czołg nr 112, którym dowodził chor. Antoni Mieczkowski. Trafiony pociskiem ciężkiego kalibru, wóz spłonął. Zginęło czterech ludzi.

Gdy hitlerowcy poczęli się cofać, kapitan Tiufiakow wraz z działonowym podpełzli do uszkodzonego

na przedpolu niemieckiego tanku, który opuściła załoga. Przedostali się dolnym włazem do środka. Szybkim ogniem działowym i maszynowym tłukli do odchodzących, póki starczyło im amunicji, a potem podpalili wóz i wrócili do swego czołgu.

Nastąpił teraz względny spokój. Rosjanie sumiennie dzielili się z Polakami śniadaniem ze swej polowej kuchni, a więc suchy prowiant czołgistów poszedł na „wzmocnienie" porcji. Dziwnym trafem znalazła się jak spod ziemi butelka samogonu. Pili drobnymi łykami, znacząc paznokciem miarę na zielonkawym szkle.

A potem, umacniając i pogłębiając stanowiska, znaleźli w lesie porośniętą chwastami mogiłę. Odczytali napis wycięty kozikiem w drewnianym krzyżu:

Zginęli za przepadłą Polskę
Wrzesień 1939 r.

Warto było coś w tym momencie powiedzieć, że przecież nie przepadła, że właśnie oni tu swymi czołgami... Albo może zaśpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy..." Ale nikt nie rzekł ani słowa, nawet podporucznik Kot, zastępca do spraw politycznych, nie wykorzystał okazji. Może dlatego, że był zmęczony — w nocy trzy razy z pepeszą w ręku chodził z piechurami do kontrataku.

Postali więc nad mogiłą, popatrzyli, ktoś się przeżegnał i wyszeptał pacierz, a potem wrócili do czołgów.

Tego samego dnia generał Mierzycan otrzymał od dowództwa 47 radzieckiej dywizji piechoty podziękowanie dla 1 kompanii za jej pracę bojową w pierwszym dniu walk. Należało raczej napisać „podczas pierwszej nocy", ale język wojskowy ma swoje specyficzne zwroty, które pozostają bez zmian nawet w listach gratulacyjnych.

NA MINACH

Nocą, z 9 na 10 sierpnia, gdy 1 kompania brała już udział w bitwie, lufy dział 2 kompanii 1 pułku były jeszcze chłodne.

Cztery czołgi, przeprawione wieczorem, zajęły stanowiska w pobliżu przeprawy. Załogi czuwały wewnątrz wozów w pogotowiu bojowym. Po zapadnięciu zmroku od strony frontu poczęły napływać grupki rannych i kontuzjowanych, przynosząc przesadzone wieści o siłach hitlerowców, o dziesiątkach „Tygrysów", które przerwały front. Powtarzane, przekazywane z ust do ust, rosły jak bajki o strzygach i wiedźmach. Jakiś kucharz przygalopował na swej kuchni polowej z roztrzaskanym o drzewa kominem i wpadł z rozpędu do Wisły pokrzykując: „Ratuj się, kto może"! Ktoś ściągnął go z kozła i nabił po mordzie za szerzenie paniki.

Naloty nie tylko nie ustały, lecz wzmagały się. Reflektory cięły wypełnione dudnieniem silników niebo, tłukła coraz mocniej artyleria przeciwlotnicza — przybyło parę nowych baterii radzieckich i otworzyły ogień dywizjony 1 Armii WP. Odgrodzone od przepraw murem zaporowego ognia, bombowce rozsypywały swój ładunek po okolicy, ciskały go z dużej wysokości.

Pech chciał, że jedna z takich bomb spadła w pobliżu promu. Odłamki przecięły stalową linę, uszko-

dziły silnik kutra. Znani nam już obaj sierżanci, Soroka i Czyczyn, na wiosłach doszli do brzegu i wyładowali czołgi. Było ich już teraz w Łatkowie sześć, ale przeprawa utknęła do świtu. Dopiero rankiem dołączyła jeszcze para i 2 kompania ruszyła w stronę frontu. Jeden czołg, uszkodzony, pozostał na prawym brzegu rzeki.

Czy pamiętacie plan natarcia, sporządzony przez dowództwo Panzerfallschirmjaeger Division „Hermann Goering" i znaczenie, jakie w nim nadano opanowaniu drogi rokadowej Ryczywół—Magnuszew—Mniszew? Naturalnie, dowódca IV Gwardyjskiego Korpusu nie znał jego treści, ale znał taktykę przeciwnika i wiedział już, w jakim kierunku szedł główny wysiłek powstrzymanego w nocy ataku. Lewe skrzydło Korpusu było w dalszym ciągu najbardziej zagrożone. W związku z tym 2 kompania została skierowana do wsparcia 57 dywizji piechoty.

Jeden pluton (trzy czołgi) osiodłał drogę kryjąc się na skraju lasu koło miejscowości Zawada; lufy dział patrzyły z zasadzki w stronę miasteczka Ryczywół.

Reszta sił — pięć czołgów — skrycie przeszła lasem na skraj polany przed Chodkowem i parę minut po 8.00 zajęła stanowiska wśród piechurów 170 pułku piechoty. Dowódcy wozów i mechanicy-kierowcy podpełzli na pierwszą linię, na rekonesans. Dowódca radzieckiego batalionu wyjaśniał im sytuację:

— Na prawym skrzydle front biegnie lasem. Tam nie pójdą, bo drzewa gęste, grube, nie ma gdzie rozwinąć czołgów. Przed nami fryce są okopani na drugiej stronie polany. Po lewej w Chodkowie siedzi nasza karna kompania ze 174 pułku, trzyma wieś do tamtego okopconego komina, ale dalej, w młynie, już są hitlerowscy fizylierzy. Zaraz za domami, w dole, tam gdzie wierzby i olchy, płynie rzeczka —

Radomka. Za rzeczką na piasku widać pożółkłe maskowanie — to niemieckie okopy.

Dowódca 2 kompanii, ppor. Czyczykowski, zapytał:

— Miny?

— Na polanie nie ma. We wsi, od spalonego mostku na rzeczce, mogą być...

Czołgiści patrzyli uważnie. Wioska była niewielka, drewniana, w połowie spalona. Jedyny „murowaniec" stał może sto metrów od lasu z naszej strony. Od domków wzdłuż polany biegły wąskie pasy pól porosłe kartoflaną nacią, zmierzwionym przez miny żytem, przetkane prostokątami łubinu i gryki. Na miedzach sterczało parę jabłonek i samotna, dzika grusza, rozrośnięta szeroko, pokryta brunatnymi ulęgałkami. Cicho tu było. Rzadkie trzaski automatów we wsi nie zakłócały spokoju. Tylko od prawej, zza lasu, od strony Studzianek, szło dudnienie kanonady.

Ustalili jeszcze sygnały i wrócili do maszyn.

Koło południa zjedli „obiad" złożony z chleba, konserw i herbaty pachnącej sosnowym dymem. Łącznik przywiózł gazety i wiadomość, że 3 kompania jest już cała na tym brzegu, że sztab Brygady urządził się w lasku na południowy zachód od Ostrowa, że generał Mierzycan przesyła pozdrowienia i obiecuje własnoręcznie wyrwać nogi z tyłka każdemu czołgiście, który przepuści esesmanów na Zawady.

Przyjęli tę obietnicę do wiadomości, pożartowali na temat „starego", który się cieszył w jednostce wielkim mirem, a potem ppor. Barchasz, zastępca Czyczykowskiego do spraw politycznych, zaczął czytać na głos artykuły z armijnej, frontowej gazety „Zwyciężymy".

Rozgorzała dyskusja nad szansami wyzwolenia Warszawy przez AK i przez Armię Czerwoną, ktoś przypomniał, jak w jednej z lubelskich wiosek dzia-

łacze ZWZ mówili o 300-tysięcznej armii, która ma przybyć z Londynu. Staszek Till, dowódca czołgu, przyczepił się do Barchasza, czemu to w PKWN jest tylko lewica, a nie ma przedstawicieli „centrum". Szczerze jednak mówiąc, szło to gadanie dość ospale, bo upał robił się nie do zniesienia, a myśleli w głębi duszy o tej denerwującej ciszy na ich odcinku. Prawie z ulgą przyjęli nagły wybuch strzelaniny w Chodkowie.

— Do maszyn!

Jednak nieprędko jeszcze wstąpili do boju. Esesmani przeszli do natarcia około 14.00 po południu. W zaciekłej harataninie o każdy dom odrzucili karną kompanię i zajęli wieś. Czołgiści nie brali udziału w walce, nie demaskowali swoich stanowisk na wyraźne żądanie dowódcy piechoty.

Dopiero o 17.00 dostali na pancerze desant radzieckich fizylierów i dwadzieścia minut później, z rozkazu dowódcy 170 pułku, poszli czterema maszynami do kontrataku.

Czterysta metrów przejechali w lewo osłonięci młodym lasem, zmienili front i biorąc z miejsca maksymalny rozpęd, ruszyli na wieś. Wszystkie maszyny prawie jednocześnie wypadły z zagajnika i gruchnęły salwą granatami na rozprysk. Zaskoczeni Niemcy nie wytrzymali psychicznie, poderwali się do ucieczki. Nasi siekli ich długimi seriami z kaemów.

Przy pierwszych chatach fizylierzy zeskoczyli na ziemię. Mechanik czołgu Tilla, sierżant Sawin, dodał gazu i całym ciężarem trzydziestu ton stali rozwalił dom, z którego bił karabin maszynowy.

Dognał go sierżant Błocki, kierowca czołgu Wojatyckiego, i razem skoczyli na odwód esesowców usiłujący wstrzymać radziecką piechotę. Tamci pospiesznie cisnęli parę granatów, ale nie zdążyli uciec — gąsienice wprasowały ich w ziemię.

— Bierz bardziej w prawo — rozkazał ppor. Till — w stronę młyna.

Naprowadził działo na błysk ognia cekaemu przy drodze i odpalił. Karabin maszynowy zgasł, ale w tej samej chwili czołgiem targnął potężny wybuch. Wóz podskoczył i znieruchomiał. Oficer poczuł, jak ciepła i lepka ciecz zalewa mu oczy. „Pewno krew — pomyślał. — Cholera, niewielem się nawojował."

O kilkanaście kroków dalej czołg ppor. Zdzisława Wojatyckiego również wpadł na minę i został unieruchomiony. Z jego załogi raniło ciężko sierżanta Haszcza.

Sawin i plutonowy Mironowicz dolnymi włazami wyciągnęli rannych i pod ostrzałem popełzli wstecz, ciągnąc ich za sobą.

W zdobytej części wioski umocnili się piechurzy 170 pułku. Ogień wroga szedł od młyna i zza rzeczki. Hitlerowcy krzyżowali serie nad ich stanowiskami. W centrum obrony, niczym dwa bunkry, tkwiły czołgi nr 124 i 127, znaczone białym orłem na pancerzu — wiodły armatni i maszynowy ogień do wroga.

Wkrótce, pełznąc, powrócili do swych maszyn Sawin i Mironowicz, a z nimi ppor. Barchasz. Kieszenie miał wypchane konserwami i machorką. Podzielił zapasy na dwie części i zajął miejsce dowódcy w czołgu Tilla.

Ze skraju lasu odezwały się działa „Ferdynandów". Odpowiedziały im dwa unieruchomione czołgi, otworzyli ogień ze swych tanków ppor. Czyczykowski, chorąży Bergielson i chorąży Żółkin, huknęły armaty polowe piechoty. „Ferdynandy" umilkły. Zbliżał się zmierzch i hitlerowcy zdezorientowani niespodziewanym pancernym kontratakiem zaniechali wprowadzenia „Tygrysów". Nie wiedzieli nawet w przybliżeniu, ile czołgów wspiera rosyjską piechotę.

Całą noc trwała nieustanna strzelanina. Esesmani usiłowali podpełznąć, by obrzucić tanki granatami, zniszczyć je i wyprzeć przeciwnika ze wsi. Radzieccy fizylierzy wykryli ich, odrzucili seriami pistoletów maszynowych, a czołgi dziesiątkowały ogniem dział i kaemów.

Ryzykowna to jednak była zabawa — po pancerzach nieustannie dzwoniły kule, parokrotnie rykoszetowały pociski, tuż przed wizjerami tryskały pomarańczowe błyski wybuchających granatów.

O porannej szarówce poczęła się kończyć amunicja, a Niemcy położyli na wieś gęsty ogień artylerii i moździerzy.

Na dwanaście minut przed wschodem słońca, o godzinie 4.00, dwa bataliony piechoty i dziesięć czołgów, z dywizji „Hermann Goering" poszło do natarcia na Chodków.

Westerplattowcy dostali rozkaz odwrotu. Odeszli z radiostacjami, z celownikami, niszcząc działa i kaemy. Zmęczeni walką, zatruci smrodem prochu, ledwo trzymali się na nogach.

Zza zrujnowanych domów wybiegali już Niemcy, krzycząc:

— Rus, zdawajsa!

Odwrót osłonił plutonowy Kielczyk. Przyczajony za stogiem siana, obrzucił nacierających granatami i dognał swych towarzyszy.

Esesowski batalion zdobył Chodków, ale natarcie utknęło w silnym ogniu przeciwpancernym, wzmocnionym przez trzy nasze czołgi.

Prawe skrzydło dywizji „Hermann Goering" nie zdołało przerwać się na Zawady i wyjść na szosę do Magnuszewa.

SZARŻA NA LEWE SKRZYDŁO

Aby opisany wyżej obraz „zaokrąglić", dodamy, iż 9 sierpnia wieczorem Niemcy przerwali front radziecki na styku 35 i 47 dywizji, zdobyli wieś Studzianki i folwark tuż przy wsi, podeszli nieco dalej na północ pod cegielnię. W nocy na 10 sierpnia usiłowali przedrzeć się na północny wschód, do wsi Wygoda i Staniszówka, ale zostali odparci przez radziecką piechotę i 1 kompanię 1 pułku czołgów. Nie udało się im również rozszerzyć odcinka przełamania — brama prowadząca przez las do Studzianek nie miała więcej niż 600—700 metrów szerokości. Uderzenie na lewe skrzydło 47 dywizji radzieckiej, dokonane o 14.00 po południu 10 sierpnia, doprowadziło wprawdzie do zdobycia Chodkowa, ale kontratak czterech czołgów 2 kompanii 1 pułku z desantem fizylierów 170 radzieckiego pułku piechoty wykonany o 17.00 odepchnął Niemców na pozycje wyjściowe, przeciągnął bitwę przez całą noc aż do świtu i ograniczył ich sukcesy do nieznacznego, miejscowego przesunięcia frontu o 200—300 metrów na północ.

Poważne zagrożenie przyczółka zmusiło dowództwo IV Gwardyjskiego Korpusu i generała Mierzycana do natychmiastowego wprowadzenia do walki niedużych grup czołgów. Wielokierunkowość niemieckich ataków rozrzuciła kompanie na różne odcinki. Reszty

dokonało zalesienie terenu walk komplikujące łączność i utrudniające manewr.

Chociaż poprzedni rozdział mówił o piątkowym ranku 11 sierpnia, cofnijmy się znowu do popołudnia dnia poprzedniego. W tym czasie dowódca dywizji „Hermann Goering", po otrzymaniu meldunku o pierwszym zdobyciu Chodkowa, dał rozkaz natarcia ze Studzianek na cegielnię, Suchą Wolę i Celinów, aby potem, po całkowitym rozerwaniu styku między 35 i 47 dywizjami radzieckimi, wyjść w lewo na Trzebień i w prawo na Wygodę.

Około godziny 16.00 dwa bataliony zmechanizowanej piechoty zaatakowały cegielnię. Dymiła jeszcze rudym kurzem po wybuchach lotniczych bomb, a „Ferdynandy" bezpośrednim ogniem armatnim gasiły resztki strzelających punktów oporu. Radziecka kompania obrońców cegielni stopniała do trzydziestu ludzi. Żołnierze z trudem otwierali zaczerwienione od bezsenności oczy, lufy automatów parzyły dłonie. Po trzydziestu godzinach walki kończyła się amunicja i granaty. Gdy zginął ostatni oficer, dowództwo objął sierżant. Kłusując od mendla do mendla po zrytym pociskami ściernisku, cofnęli się do domów Suchej Woli i Celinowa, zalegli cieniutkim łańcuszkiem tyraliery. Wzmocnili tę obronę kucharze, sanitariusze, magazynierzy i pisarze sztabowi — ostatni odwód 35 dywizji.

Niemcy po zdobyciu cegielni stanęli jakby na środku lekko wypukłej tarczy. Z tyłu — Studzianki, z prawej i lewej w odległości przeszło kilometra lasy, a przodem, nieco w dole, wioski zbudowane wzdłuż drogi. Dowódca szturmowego zgrupowania podciągnął drugi rzut piechoty i działa polowe, rozwinął pułk zmotoryzowany i wsparłszy go kompanią czołgów, dał rozkaz do natarcia na północ.

Ruszyli przez ściernisko jak na pokazowych manewrach. Artyleria i czołgi macały granatami przedpole, piechurzy krótkimi seriami dziurawili kopy zżętego żyta. Nikt im nie odpowiadał. Tylko w przodzie zapalona chałupa buchnęła dymem i na lewym skrzydle od kul zajęło się suche zboże. Śmierdziało dymem. Maszerowali szybko nie zrywając się jednak do biegu, szczędząc siły na szturm. Podoficerowie krótkimi komendami wyrównywali tyralierę, przesuwali „maschinengewehry" ku skrzydłom plutonów. Czynili to raczej z przyzwyczajenia niż potrzeby — żołnierz był doborowy, starannie ćwiczony, prawie wszyscy — członkowie NSDAP.

Chałupy w przedzie wysuwały się coraz wyżej zza pagórków. Zaterkotała pierwsza seria ze strony Rosjan.

Szli dalej nie zwiększając tempa — w hełmach, w panterkach z zakasanymi po łokcie rękawami, w chrobocie butów na ściernisku — żołnierze najstarszej jednostki pancernej Waffen SS. Czołgi na radiową komendę dodały gazu, by w chwili szturmu zrównać się z piechotą. Celowniczowie nie odrywali oczu od szkieł, wypatrując strzelnic cekaemów i pozycji dział.

— *Achtung! Feindliche Panzerwagen! Achtung! Achtung! Links „te-fier-und-dreisig".**

W pierwszej chwili nie pojęli, ale już po pancerzach przeszedł dreszcz serii z kaemów, jęknął rykoszetujący pocisk, a flankowy T-IV wyrzucił z silnika kitę dymu. Cały w płomieniach, sunął jeszcze chwilę jak żywa pochodnia, a potem wybuch amunicji zerwał mu basztę i cisnął na bok.

— *Achtung! Russische Panzerwagen!* Rozwinięcie w lewo. Pełny gaz!

---

* Uwaga, nieprzyjacielskie czołgi. Z lewa T-34.

Pierwsza wykonała rozkaz załoga ciężkiego „Tygrysa". 650 koni mechanicznych ryknęło całą mocą, maszyna skręciła w miejscu. Spoza welonu dymu z płonącego tanku wyszła na kierunek i przycupnęła w płaskim zagłębieniu.

Oberscharführer Mitschke zobaczył w szerokim prostokącie peryskopu widok groźny, lecz zarazem piękny dla starego czołgisty: w prawo od maleńkiego lasu, ze skrzyżowania polnych dróg, szło w kłębach dymu do ataku dziesięć wozów bojowych. Gnały jak lawina na flankę niemiecką, siekły ogniem maszynowym piechotę, rąbały z dział do czołgów.

Mitschke pojął, że jeszcze go nie dostrzegli. Teren krył „Tygrysa" powyżej gąsienic, a dym gorejącego wraku maskował wieżę.

— Do prawoskrzydłowego... — podał komendę celowniczemu.

Z zimną krwią czekał chwilę, by tamten wyszedł spomiędzy kop zboża, i dopiero wówczas rozkazał:

— *Feuer!*

Ciężki pocisk trzepnął w gąsienicę, zerwał ją i rozpędzony T-34 zarył się burtą w piach. Na ułamek sekundy przed oczyma Mitschkego błysnął na oliwkowym pancerzu biały orzeł.

— *Donnerwetter noch ein Mal!* — zaklął bezwiednie. — *Da sind die Polen!*

Niczym błyskawica przemknęło wspomnienie pogodnego września sprzed pięciu lat, dróg zawalonych trupami koni, malutkiego „TK" z blachą podziurawioną przez karabiny piechoty. Wszystko to nie trwało nawet sekundy. Ranny czołg obrócił wieżę i zniżył lufę do strzału.

— *Feuer!* — krzyknął Mitschke.

Pocisk kalibru 88 mm werżnął się w odsłonięty bok polskiego czołgu, trysnął krótkim błyskiem.

Działo tamtego odpaliło, rykoszet jęknął o pancerz wieży „Tygrysa", ale w tej samej chwili przeciwnikowi eksplodowała we wnętrzu amunicja.

— Do następnego...

Mitschke nie dokończył. Prawie jednocześnie „Tygrys" dostał w nasadę działa i drugi pocisk przebił wieżę drąc stalowe drzazgi z pancerza. Oberscharführer oślepł od krwi spływającej spod hełmu. Sześć sekund później celny wystrzał zapalił silnik. W gryzącym smrodzie dymu załoga rzuciła się do włazów...

A wozy bojowe 3 kompanii 1 pułku czołgów dudniły tuż obok w swej zawadiackiej szarży...

Przed południem zakończyli przeprawę, ruszyli przez Magnuszew i Trzebień, by zająć pozycję ryglową na linii odwodów 35 dywizji piechoty. Gdy przybyli do Łękawicy Górnej, odwodów już nie było — oficerowie sztabu wybijali łomami strzelnice w ścianach murowanych domów, szykowali okrężną obronę. Dowódca dywizji wskazał ręką pola przed Studziankami i dał rozkaz do natarcia. Ścisnął dłoń porucznikowi Tarajmowiczowi, dowódcy kompanii, i dodał:

— *Tolko wy, rebiata, możetie zadierżat' esesmanow...*

Zrozumieli. Było ich czterdziestu ludzi za pancerzami dziesięciu czołgów przeciwko pułkowi piechoty wspartemu co najmniej taką samą ilością tanków. Zrozumieli, że są ostatnią rezerwą, że tylko zaskoczenie, rozpęd i celny ogień mogą powstrzymać SS. Pełnym gazem ruszyli drogą na Studzianki, a gdy czołowa maszyna dopadła lasku u rozstai, zrobili zwrot „wszyscy wraz" i runęli na skrzydło Niemców.

Była dokładnie 17.00 po południu, gdy skosili seriami kaemów pierwsze plutony, zapalili T-IV i „Ty-

grysa", roztrzepali lewoflankowy batalion. Stracili jedną maszynę, ale szli dalej w pędzie husarskiej szarży. Grzmot dział toczył się nad polem jak walec chmur burzowych. Jeszcze parę minut działało zaskoczenie. W zmieniające szyk tanki niemieckie bił skoncentrowany ogień kilku luf naraz, rozszarpywał ich pancerze, zapalał ropę w bakach.

Lecz to nie była zwykła jednostka Wehrmachtu. Esesmani nie ulegli panice. Po kwadransie zagięli skrzydło, przerzucili działa polowe pod kopki żyta i otworzyli ogień na wprost. Prawie jednocześnie płomienie chwyciły dwa nasze czołgi.

— Naprzód, naprzód!

Serca łomocą przyspieszonym rytmem, jazgocą kaemy, ręce mdleją ładowniczym od podawania pocisków. Smród prochu tamuje oddech.

— Naprzód!

Kule dziobią pancerze, tłuką peryskopy. Rykoszety wstrząsają wieżami, lecz i polskie granaty rwą się tuż przy stanowiskach artylerzystów. Nasze „podkalibrowe" dziurawią niemieckie tanki, serie strzelców-radiotelegrafistów sieką piechotę.

— Naprzód! Gąsienicami ich!

Tuż przed czołgami linia obrony. Ładowniczy w panterce wciska pocisk do lufy, lecz już zamka nie przytrzaśnie... Zgrzyt łamanego metalu pod pancerzem, jęk tratowanych.

W wybuchach granatów 3 kompania przerywa obronę, odrzuca ostatni batalion do cegielni.

Nie, to już nie kompania. Tylko cztery ocalałe czołgi opuszczają pole bitwy na radiowe wezwanie i zajmują miejsce w szykach 35 dywizji, piechoty w lesie, na północny zachód od Studzianek.

Po czterdziestominutowej walce na ściernisku dogorywa sześć maszyn 1 pułku czołgów 1 pol-

skiej Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte:

czołg 130 dowódca kompanii por. Rościsław Tarajmowicz — zabity
mechanik-kierowca sierż. Osiowy

czołg 131 dowódca plutonu ppor. Zygmunt Gajewski — zabity
mechanik-kierowca sierż. Stawiński

czołg 133 dowódca czołgu st. sierż. Leonid Trepaczko — ranny
mechanik-kierowca sierż. Abramowski

czołg 134 dowódca plutonu ppor. Grzegorz Pilipejczenko — ranny
mechanik-kierowca sierż. Gorew

czołg 135 dowódca czołgu chor. Edward Dackiewicz — zabity
mechanik-kierowca sierż. Pisarek

czołg 136 dowódca czołgu chor. Bolesław Gusławski — zabity
mechanik-kierowca sierż. Zawojkin

Obok dopalają się wozy przeciwnika: 4 czołgi średnie T-IV, 1 ciężki, 56-tonowy T-VI „Tygrys" i 2 opancerzone transportery. Nikt nie liczy dział i cekaemów rozbitych granatami, wdeptanych gąsienicami w ziemię ani ponad setki zabitych esesmanów.

POTYCZKA O GAJÓWKĘ

Według wszelkich zasad literackich należałoby zakończyć opowieść o czwartku 10 sierpnia bohaterską szarżą 3 kompanii 1 pułku. Ponieważ jednak jest to skromny reportaż o bitwie, a nie utwór dramatyczny, musimy jeszcze wspomnieć, co działo się na prawym skrzydle niemieckiego natarcia.

Otóż w tym samym czasie, gdy esesmani rozpoczęli dwoma batalionami atak na cegielnię, jeden batalion z czołgami ruszył ze Studzianek w kierunku na Wygodę i Basinów. Nie napotykając oporu (1 kompania 1 pułku czołgów cofnęła się do zasadzek w rejonie wzgórza 112,2) Niemcy opanowali rozjazd dróg przy krzyżu i uderzyli skrajem lasu na leśniczówkę. Pod silnym ogniem czołgów i „Ferdynandów" radzieccy piechurzy cofnęli się w głąb lasu. Ruszył za nimi „Tygrys" z desantem fizylierów.

„Ferdynand" rozwalił ścianę szopy w gajówce, wysunął lufę przez okienko i tak zamaskowany przygotowywał się do ogniowego wsparcia. Czołgi zajęły stanowiska wyjściowe między drzewami. Wyczekiwano, póki sąsiedzi nie uporają się z cegielnią, by potem, razem już, uderzyć na ostatnią linię obrony radzieckich dywizji, biegnącą przez Celinów, Suchą Wolę, Basinów i Wygodę. Ten właśnie chwilowy przystanek kosztował Niemców sporo...

2 pułk czołgów rozpoczął przeprawę 10 sierpnia rano, o godzinie 9.00. Uporczywe naloty bombowców

i nękający ogień ciężkiej artylerii bardzo utrudniały forsowanie Wisły. Do 14.30 przerzucono na lewy brzeg zaledwie 6 czołgów. Zaalarmowany groźnymi wiadomościami z frontu, dowódca pułku wyznaczył do straży przedniej dwa wozy ze zwiadu, dwa z 1 kompanii i wysłał je do Wygody. Czołgi osiągnęły wieś w momencie, gdy Niemcy lokowali się w gajówce. Nie było czasu do stracenia. Z desantem radzieckich piechurów na pancerzach skoczyli samoczwart do ataku. Prawdę mówiąc, było to bardzo po kawaleryjsku i po polsku — bez zwiadu, bez przygotowania, jak to powiadają na „alboś my to jacy tacy!" Może dlatego się powiodło...

Pierwszy na swym czołgu wypadł spomiędzy drzew chorąży Edward Gruszka i z rozpędu skoczył w sam środek tyraliery esesmanów. Wygarnął im prosto w ślipia z obu kaemów, desant sypnął zza wieży seriami z automatów. Wsiedli Niemcom na karki, wzięli ich pod gąsienice, z hukiem i trzaskiem wyjechali niespodzianie na leśniczówkę.

Ukryty „Ferdynand" dał ognia, lecz zaskoczona załoga spudłowała haniebnie ze stu metrów. Edek Gruszka obrócił działo i przygrzał granatem w szopę. Pocisk zerwał krokwie, zapalił słomiany dach. Niemieckie działo szturmowe oślepło nagle. Pracujący na małych obrotach silnik zassał do wnętrza ogień. Eksplodowało paliwo...

Tuż za czołgiem chorążego Gruszki gnały pozostałe trzy maszyny grzmocąc z armat, więc esesmani wzięli nogi za pas i odskoczyli do lasu razem ze swymi tankami.

Kroniki pułkowe odnotowały potem, że wraży pocisk uszkodził działo czołgu chorążego, ale to nie jest zgodne z prawdą. Po prostu Edek chcąc się zabezpieczyć przed ewentualnym drugim „Ferdynandem", który mógł być schowany w sąsiedniej oborze,

odpalił z armaty. Rozpędzony czołg podjechał jednak zbyt blisko muru i gazy prochowe rozniosły lufę raniąc jednocześnie chorążego i zapalając wieżę. W gorączce walki zdarza się czasem taki przypadek również doświadczonym pancerniakom — nie ma co robić z tego tajemnicy wojskowej. Wściekły na siebie i omotany bandażami, musiał się Gruszka po ugaszeniu pożaru wycofać z walki. Czołg jego, nr 225, przerobiono natychmiast na ciągnik i mechanik-kierowca Dubielecki do końca bitwy przeszedł do grupy technicznej pułku: wyciągał spod ognia uszkodzone maszyny, dowoził pociski. Dokuczali mu koledzy: „Aleś, bracie, sprytnie wykombinował, żeby nie wojować. Zamiast lufy — różyczka". Odcinał się im: „Ze szczawikami nie gadam. Jak spalisz „Ferdynanda", to przyjdź do mnie na rozmowę".

Niemiecki „Tygrys", który z fizylierami wlazł głębiej do lasu, wkrótce stracił desant — zgubili mu się gdzieś między drzewami. Przystanął więc na przesiece mieląc powoli silnikiem, przepatrywał peryskopami zarośla, obrócił lufę w stronę podejrzanego wykrotu. Dowódca ostrożnie uchylił właz i wystawił głowę. Nagle spomiędzy sosen wyjechał na przesiekę czołg, zgrabnie wykonał ćwierć obrotu i stanął naprzeciw „Tygrysa" nie dalej niż 40—50 metrów. Z uchylonego włazu patrzył na Niemca polski dowódca.

Zaskoczenie było obustronne. Jednocześnie trzasnęły klapy, jednocześnie lufy spojrzały na siebie. Załoga T-34 odpaliła o ułamek sekundy wcześniej i pocisk rozpruł działo „Tygrysa". Esesmani poczęli wyskakiwać na pancerz. Drugi wystrzał przedziurawił basztę na wylot, trzeci rozwalił stalową płytę czołową. Dopiero po czwartym trysnęły z wnętrza płomienie... Niezwykły pojedynek był zakończony.

U schyłku dnia, o 20.00, Niemcy z uporem powtórzyli natarcie na Basinów i Wygodę, ale pozycję ryglową obsadziło już wówczas sześć nowych czołgów: cztery z 1 i dwa z 2 kompanii 2 pułku czołgów. Pancerniacy otworzyli ogień z miejsca. Do kontrataku ruszyła z lasu 1 kompania 1 pułku czołgów odrzucając wroga z powrotem do rejonu krzyża. W wieczornym boju hitlerowcy stracili jeden czołg, a 1 kompania 1 pułku dwa: jeden spalony i jeden uszkodzony.

Zapadła noc z 10 na 11 sierpnia. Po dwudziestu czterech godzinach nieustannych walk Panzerfallschirmjaeger Division Waffen SS „Hermann Goering" zajmowała w zasadzie stanowiska uzyskane w ciągu pierwszych dwu godzin od rozpoczęcia natarcia. Z „Blitzkriegu" przeciwko przyczółkowi wyszły nici. Na niemieckiej mapie sztabowej wokół rejonu włamania pojawiły się romby oznaczające stanowiska czołgów przeciwnika. Wydział zwiadowczy zameldował dowódcy:

— *Da sind die polnische Panzertruppen.* *

---

* To są polskie oddziały pancerne.

POCZĄTEK DRUGIEJ RUNDY

Jeśli można by bitwę pod Studziankami przyrównać do walki bokserskiej, to noc z czwartku na piątek, z 10 na 11 sierpnia, wypadłoby traktować jako przerwę między pierwszą a drugą rundą.

Pierwszą rundę, do której gongiem było artyleryjskie przygotowanie i bombardowanie lotnicze, rozpoczęli Niemcy przerwaniem frontu i zdobyciem Studzianek. Oni w ciągu dwudziestu czterech godzin nadawali tempo, raz po raz wyprowadzali niebezpieczne ciosy, parli do zwarcia usiłując rozstrzygnąć spotkanie pancernym nokautem. Trzy razy wznawiali decydujące ataki i trzykrotnie napotykali twardą kontrę.

W nocy z 9 na 10, na przedpolu Wygody, osadziła ich przyczajona w lesie 1 kompania kapitana Tiufiakowa i podporucznika Kota wraz z odwodami 140 pułku piechoty radzieckiej.

W południe 10 sierpnia Niemcy wyrzucili z Chodkowa karną kompanię, ale trzy godziny później, skontrowani przez cztery czołgi z 2 kompanii podporucznika Czyczykowskiego i podporucznika Barchasza, wsparte desantem ze 170 pułku piechoty, musieli cofnąć się na pozycje wyjściowe.

Po południu tego samego dnia, gdy z całą siłą wyprowadzili uderzenie na cegielnię i Suchą Wolę, szarża 3 kompanii porucznika Rościsława Tarajmo-

wicza, niczym potężny sierpowy, odrzuciła ich do Studzianek.

Wieczorny atak na leśniczówkę i Wygodę, zlikwidowany przez czołgi Tiufiakowa i czołówkę 2 pułku, nie miał już tej mocy co poprzednie — „Hermann Goering" zasapał się co nieco...

Noc zakończyła pierwszą rundę. Mimo braku sędziego ringowego nietrudno rozstrzygnąć, kto ją wygrał: Panzerfallschrimjaeger Division Waffen SS „Hermann Goering" mimo przerwania frontu nie zdołała wykonać swego zadania dnia — nie przełamała całej głębokości obrony radzieckiej, nie wyszła na drogę do Magnuszewa. Natomiast IV Korpus Gwardyjski zyskał dwadzieścia cztery godziny — w jego szykach walczył już cały 1 pułk czołgów, 2 pułk kończył przeprawę, a batalion zmechanizowany Brygady im. Bohaterów Westerplatte skoncentrował się po sforsowaniu Wisły w lesie pod Ostrowem, około sześciu kilometrów od pola bitwy. Na wschodnim brzegu rzeki pozostała tylko jego bateria działek ppanc. kalibru 45 mm.

Dramatyczny dzień, w ciągu którego parę razy sytuacja stawała się krytyczna, a pod wieczór klęska wisiała na włosku, był już poza nami... Przetrwanie dawało szanse wyrównania sił, mogło być traktowane jako taktyczny sukces.

Napisałem na początku rozdziału, że noc wypadałoby traktować jako przerwę między rundami, ale porównanie „kuleje na obie gąsienice" — w promieniu dziesięciu kilometrów od Studzianek nikt tej nocy nie wypoczywał.

Gdy do sztabu dywizji „Hermann Goering" nadeszły pierwsze radiowe meldunki o szarży polskich czołgów (3 kompania 1 pułku!) i załamaniu się niemieckiego ataku na Suchą Wolę, w ziemiance zaległa

cisza. Ktoś cisnął przekleństwo i umilkł natychmiast pod kpiącym spojrzeniem dowódcy.

— Wezwać lotnictwo bombowe. Zażądać na 19.15 uderzenia wzdłuż skraju lasu od wzgórza 132,1 do Ignacówka-dorf. Zapewnić wsparcie dwu eskadr Stukasów w tym samym rejonie na godzinę 19.20.

— Podciągnąć artylerię pancerną do Ignacówki. Wykonać o 19.20 dziesięciominutową nawałę ogniową ze wszystkich luf.

— Uderzyć dwoma batalionami z zadaniem przerwania frontu i wyjścia na Paprotnia-dorf. Natarcie wesprze kompania ciężkich i kompania średnich czołgów...

Sztabowcy śpiesznie wyrysowali na mapach kierunki ataku, który miał rozerwać ku zachodowi wąskie gardło odcinka przełamania. Zamiar dowódcy był jasny, łatwy do odczytania: poszerzenie wyłomu pozwoli wprowadzić do akcji większe siły, siły zdolne do zdruzgotania tej polskiej jednostki, która tak niespodzianie pojawiła się w pasie działania dywizji „Hermann Goering".

Bombowce przybyły punktualnie i z właściwym ładunkiem bomb, które zostały celnie zrzucone. Grzmiały jeszcze ostatnie eksplozje, gdy nadleciały szturmowce i poprzez gęste kłęby pyłu poczęły dziobać okopy, fastrygować krawędź lasu seriami z broni pokładowej. Grzmiała pośpiesznie artyleria wszelkich kalibrów od 75 do 155 mm.

Grupa oficerów sztabu wraz z dowódcą podjechała trzema czołgami na zachodni skraj Dąbrówki Grabnowolskiej. Osłonięci ruinami domów, obserwowali przez peryskopy atak lotnictwa i ogień artylerii. Nawet najbardziej wymagającemu oficerowi trudno byłoby znaleźć jakiś pretekst do sformułowania za-

rzutu — *das war eine gute Arbeit,* to była dobra robota...

Punktualnie o 19.30 ruszyło natarcie — około 600 esesmanów i 20 czołgów. Oświetleni niskim słońcem, pobiegli przez ścierniska, a za nimi długie ostre cienie. Kłusowali pewnie w rudą kurzawę nad radzieckimi okopami. Niemiecka artyleria wciąż biła po lesie granatami z natychmiastowym zapalnikiem, które rozrywały się w koronach drzew i siekły pod siebie tysiącami odłamków.

Z tyraliery wystrzeliła zielona rakieta. Działa sprawnie przerzuciły ogień w głąb, czołgi ruszyły na wysokich przekładniach, a esesmani skoczyli z impetem do szturmu strzelając z biodra krótkimi seriami.

Dowódca dywizji „Hermann Goering" oderwał oczy od peryskopu i spojrzał na zegarek. Elegancki, złoty „Schaffhausen" wskazywał godzinę 19.38. „Mają więc jeszcze dziewiętnaście minut do zmroku — pomyślał. — W sam raz tyle, ile trzeba, by wedrzeć się w las i przy resztkach światła wystrzelać tych nielicznych, którzy przetrzymali bombardowanie i nawałę artyleryjską. Przeciwnik będzie musiał przerzucać odwody po ciemku, jeśli je jeszcze posiada..." Z meldunku grupy szturmowej oberführer wiedział, że polskie czołgi kontratakowały bez piechoty.

Spojrzał znowu w peryskop i zagryzł wargi — przed lasem działo się coś niedobrego: tyraliera zalegała, a tanki zwolniły tempo. Po polu tańczyły wybuchy ciężkich pocisków z moździerzy i dział.

— *Vorwärts!* Leżą pod ogniem zaporowym. Naprzód, *zum tausend Teufel!* Jeśli spod niego nie wyskoczą...

Radiotelegrafista przekazał rozkaz dowódcy, lecz w tej samej chwili las jak by ożył i na całej linii

począł błyskać ognikami wystrzałów broni maszynowej.

— *Vorwärts!* Dwie baterie „Ferdynandów" do przodu.

Nie minęła minuta, a już działa pancerne — płaskie, prostokątne pudła z długimi ryjami armat — wypełzły na przedpole i grzmiąc salwami potoczyły się na las. Ich ruch powinien był porwać piechotę, ośmielić czołgi do szturmu. Pech jednak chciał, że bardziej wysunięte ku przodowi lewoskrzydłowe maszyny trafiły pod salwę jakiegoś ciężkiego dyonu i trzy naraz, uszkodzone widocznie, utknęły w miejscu. To osadziło resztę.

Jeden z „Tygrysów" dostał bezpośrednie trafienie w silnik i stanął w płomieniach. Drugi, chwilę później, gdy dopadał pierwszych drzew, również trysnął ogniem.

Armatnia i maszynowa haratanina rozpalała się coraz zawzięciej. Coraz jaśniej świeciły gorejące tanki w zapadającym mroku.

— Zostańcie tu i pilnujcie, żeby się nie cofnęli ani o metr — rozkazał dowódca swemu zastępcy. — Ja wracam do sztabu i zmontuję atak w prawo od wzgórza 132,1. Naciskajcie do samego rana bez chwili przerwy. O świcie ich rozniesiemy. Gonią ostatkiem sił, nie mają rezerw. Oni nie mogą, nie powinni się utrzymać.

Jeden z płonących czołgów eksplodował i zgasł. Pociemniało nagle. Gdy oberführer wchodził do ziemianki swego sztabu, było już zupełnie ciemno.

Był to stary, doświadczony oficer i odważny żołnierz. Na pewno z regulaminowego punktu widzenia miał rację: 100 czołgów, 10 000 bitnych, ostrzelanych esesmanów to poważna siła, a więc „oni" nie powinni byli się utrzymać. Nie wiem jednak, czy w do-

statecznym stopniu wziął pod uwagę, że po tamtej stronie frontu walczyli stalingradczycy. Nie wiem, czy rozumiał, że młodzi czołgiści polscy bili się o Warszawę i honor noszenia nazwy „Bohaterów Westerplatte". A to również liczy się w boju...

Przez całą noc po obu stronach frontu pracowali artylerzyści. Przy martwym świetle rakiet „Ferdynandy" i „Tygrysy" ostrzeliwały ze Studzianek przedpole węsząc jakiś ruch na naszych liniach. Patrole esesmanów ścierały się z ubezpieczeniami radzieckiej piechoty. W Chodkowie — jak już pisałem — do świtu toczyły bój uszkodzone na minach czołgi podporuczników Tilla i Wojatyckiego. Rankiem esesmani zdobyli wieś, ale mimo wielokrotnie powtarzanych przez trzy dni ataków nie posunęli się już na tym odcinku frontu — radzieccy piechurzy wraz z trzema czołgami 2 kompanii 1 pułku mocno trzymali swe pozycje.

Nie Chodków jednak stał się ośrodkiem piątkowych walk, lecz las na północny wschód od wzgórza 132,1. W piaszczystych okopach pod sosnami, w wąskich, pośpiesznie budowanych ziemiankach tkwili w nim wraz z ośmioma czołgami Tiufiakowa żołnierze 140 pułku 47 radzieckiej dywizji. Wroga mieli przed sobą i na swym prawym skrzydle, a tyłom ich zagrażały bataliony esesmanów z folwarku, z rejonu krzyża i podchodzące do leśniczówki. O tego rodzaju pozycjach żołnierze mówią zazwyczaj niecenzuralne słowa.

Skoro świt na okopy 140 pułku spadła nawała artyleryjska. Pociski tłukły zapamiętale w puste rowy strzeleckie, wyrywały z ziemi pokrycia próżnych ziemianek i ciskały złotawymi bańkami po konserwach. Niemiecką tyralierę postrzępił na przed-

polu ogień moździerzy, trzy czołgi osiadły na minach, lecz natarcie doszło do pierwszych linii i wraz z dziesiątką średnich czołgów wsiąkło w las.

Dowódca dywizji „Hermann Goering" doznawał emocji gracza w szachy, który w skomplikowanej sytuacji, po celowym oddaniu figury, widzi, jak przeciwnik traci kluczową pozycję.

A więc całonocny, wiążący bój pod Ignacówką miał sens, ciężkie straty w ludziach nie są daremne i osiem czołgów spalonych przez wroga...

Rozkazał pchnąć w wyłom na Studzianki przydzielone mu posiłki z 45 pułku piechoty. Nim dojdą, brama będzie szeroko otwarta. Wąski przesmyk przestanie krępować ruchy oddziałów i dławić tempo operacji. Poczuł nawet pewną sympatię do Rosjan — bronili się przecież zaciekle, póki to było możliwe.

Tymczasem niemiecka tyraliera przekroczyła radzieckie okopy nie znajdując zabitych ani rannych. Czołgi spokojnie forsowały niewysoką, leśną groblę, diabli wiedzą, kiedy i po co usypaną, torowały sobie przejścia, wychodziły na przesieki łamiąc co cieńsze sosny. Dowódcy maszyn otwierali pokrywy włazów, wychylali się, by lepiej widzieć drogę. Esesmani zsuwali hełmy z zapoconych czół, leniwie przestrzeliwali co gęstsze krzaki. Radiostacje na samochodach przekazywały meldunki. Nad jednym z wozów trzepotał rozwinięty sztandar pułku SS.

I wówczas nagle huknęły armatnie strzały, poczęły pruć długimi seriami kaemy, zza sosen zaterkotała naraz setka automatów. Niewidoczne, wkopane głęboko polskie T-34 kropiły w niemieckie tanki, radzieccy piechurzy siekli esesmanów krzyżowym ogniem, ciskali granatami. Zda się, że wszystkie pnie ożyły, że zza każdego krzaka, z każdego wykrotu tryskał deszcz ołowiu. Pociski zapaliły jeden czołg,

potem drugi — czarny dym gorejącej ropy zasnuwał las. Niemieckie wozy rakiem poczęły się cofać. Buchnęło głośne „hura!" — 140 pułk ruszył do walki wręcz — na granaty, na noże i bagnety.

Esesmani nie wytrzymali, skoczyli do ucieczki. Ich czołgi dopadając luźniejszych miejsc robiły zwrot w miejscu i gnały w pole. Jeszcze jeden podpalili granatami Rosjanie, a między kopkami żyta, jak uciekającego zająca, Polacy zatłukli czwarty. Samochód ze sztandarem nie zdążył zawrócić — nasz T-34 sprasował mu maskę gąsienicami, a okopcony, czarny od prochu czołgista wystrzałem z pistoletu powalił chorążego i wydarł mu z rąk drzewce.

Brano jeńców, uruchamiano zdobyte auta. Z okopów w zajętej na powrót grobli strzelały do uciekających kaemy. Obserwator baterii moździerzy wykrzykiwał komendy do telefonicznej słuchawki, ścigał hitlerowców płaskimi wybuchami min. Artylerzyści w przepoconych, podartych o sęki gimnastiorkach wytaczali na stanowiska działa przeciwpancerne. Nasze czołgi wpełzały ostrożnie w szyki piechoty i wysuwając żądła gorących jeszcze luf milkły w cieniu maskujących je drzew.

Wiktor Tiufiakow i Józef Kot szli od wozu do wozu, kolbami pistoletów stukali w pancerze, dopytując się o stan amunicji, paliwa i załóg. Strat nie było, jeżeli nie liczyć guza na głowie jednego z radiotelegrafistów, nogi jednego z wieżowych oparzonej o łuskę armatnią i zagubionej w zasadzce manierki z wódką. Okazało się przy tym, że został zdobyty nie jeden sztandar, lecz dwa. Jeńców za pokwitowaniem oddano radzieckim piechurom, a sztandary odesłali do sztabu Brygady pod osłoną dwu żołnierzy z drużyny rusznic przeciwpancernych, która działała wraz z czołgami.

Przerwa w boju nie trwała długo. Prawe skrzydło otworzyło ogień do piechoty niemieckiej, która niewielkimi grupkami przesuwała się przez wyłom we froncie na Studzianki (był to posiłkowy batalion owego 45 pułku piechoty). By go osłonić, esesmani poszli do natarcia z paroma czołgami, ale utknęli na ogniach zaporowych artylerii.

Rosjanie w termosach przynieśli na linię pęczak na słoninie i zimne mięso wołowe pokrajane w kostki. Czołgistom wydzielili porcje nie tyle większe, ile bez żył. Na chudym chłopskim koniu przyczłapał instruktor z wydziału politycznego dywizji. Przywiózł gazety i gąsior z nalewką na wiśniach. Twarz miał podrapaną do krwi gałęziami — musiał butlę trzymać oburącz i nie miał się czym osłaniać.

— Który tu dowódca? To wam od komdiwa * podarek.

Bombardowanie z samolotów, przerwane zresztą przez radzieckie myśliwce, było zapowiedzią trzeciego ataku. Na prawym skrzydle rosyjskie działa ppanc. podpaliły „Tygrysa", a nasi czołgiści uszkodzili T-IV — z przetrąconym działem cofnął się z pola. W centrum obrony doszło jednak do walki wręcz w okopach i dopiero pomoc sąsiednich plutonów wyjaśniła sytuację na naszą korzyść.

Od tej pory nie ustawała wymiana strzałów, a po południu, około 15.00, hitlerowcy podnieśli się znowu. Szli wyjąc i krzycząc pod osłoną czołgów.

— Mają widać sporo wódki, nie żałują sobie — z cieniem zazdrości w głosie powiedział dowódca radzieckiego batalionu do podporucznika Kota, z którym razem siedzieli w bunkrze zamienionym na punkt dowodzenia.

---

* Skrót ros. — dowódcy dywizji.

Tym razem podpuszczono atakujących blisko i dopiero na sygnał radiowy dały ognia czołgi i polówki, odezwały się naraz wszystkie kaemy. Esesmani zalegli, tanki ich przystanęły kryjąc się za popalonymi wrakami i w zagłębieniach terenu, ale nie odeszły. Dobre czterdzieści minut trwała zaciekła haratanina i pojedynek na celność. Straciliśmy jedną polówkę, a oni jeden i potem jeszcze dwa czołgi (ostatni zapalili Polacy). Diabli wiedzą, ile by to trwało, gdyby nie pomoc z Korpusu: w głębi lasu zaświstało, jak by pękły kotły stu naraz lokomotyw, nisko nad naszymi pozycjami przekreśliły niebo rozżarzone do czerwoności łuki i w tym miejscu, gdzie byli esesmani, rozlało się jezioro płomienia, grzmotów i kurzu. Gorąca fala powietrzna dotarła aż do polskich czołgów.

Potem zaległa dzwoniąca w uszach cisza — tam gdzie przemówi „Katiusza", inni tracą głos.

— Będziemy mieli godzinkę spokoju — powiedział dowódca baonu do Józka Kota, ale widać w złą chwilę to wymówił, bo najpierw w głębi lasu poczęły trzaskać automaty, a potem zadzwonił telefon: „Niemcy atakują od folwarku, są już w lesie na tyłach pułku".

Na rozkaz radiowy 1 kompania zapuściła silniki, wyszła z okopów i wziąwszy desant na pancerze, zrobiła zwrot o 180 stopni. Jak stado czujnych nosorożców poszło osiem czołgów przez las na wroga. Szczęśliwie przydybali go na szerokiej przesiece i w pierwszym starciu mogli wystrzelić po parę odłamkowych granatów. Zaskoczyli z flanki T-IV. Któryś z naszych tak go poczęstował, że wybuch zerwał całą wieżę i cisnął ją między drzewa.

Desantowcy skoczyli między pnie, pognali za cofającym się wrogiem, lecz nie zapomnieli o czołgach —

wskazywali drogę, przeczesywali krzaki, skosili seriami cztery zasadzki uzbrojone w panzerfausty.

Między sosnami zamigotały prześwity. Wyszli na skraj lasu po lewej i prawej od krzyża. Z folwarku biły „Ferdynandy" macając na ślepo przeciwnika. Na rozkaz Tiufiakowa cofnęli nieco wozy, a przed nimi piechurzy desantu ryli już łopatkami ziemię umacniając pozycję. Od tyłu nadbiegł zziajany batalion — było ich zaledwie pięćdziesięciu.

— Gdzie Niemcy?

— W folwarku.

— W lesie?

— Nie ma.

— Wyście ich przegnali?

— My.

— *Charaszo! Kurit' choczesz?*

Czarnowłosy, smagły oficer wcisnął Kotowi w rękę paczkę machorki, dał rozkaz swoim, żeby zajmowali obronę i nawiązali łączność na skrzydłach, a potem się przedstawił:

— Starszy lejtnant Mamedow.

Wesoły to był człowiek, otwartego charakteru i zawadiaka. Momentalnie zapoznał się z wszystkimi załogami, opowiedział, jak pięknie jest w jego ojczystej Gruzji, wymienił parę ormiańskich zagadek na polskie dowcipy. Obszedł cały odcinek, poprawił rozstawienie kaemów i rusznic. Widać było, że doświadczony frontowiec.

Niemcy na folwarku przycichli, strzelali rzadko. Zmęczone załogi spały pod czołgami — Mamedow wyznaczył swoich wartowników, by czuwali przy wozach. Przydał się bardzo ten wypoczynek pancerniakom, bo po dwu godzinach zbudziły ich samoloty. Zarządzono alarm bojowy. Bombowce zwaliły jednak swój ładunek przed dolotem do lasu. Za garbem wy-

pukłego pola, tam gdzie widać było resztki dachów Suchej Woli, zadudniły ciężkie wybuchy, stanęły słupy dymu i ognia.

— Kogóż tam tak rąbią?

— Ano, chyba w puste nie biją.

Sytuacja wyjaśniła się wieczorem. Tuż przed zmierzchem Niemcy, uzupełniwszy szeregi posiłkami z 45 pułku, z uporem powtórzyli wczorajsze swe natarcie: z folwarku, przez cegielnię rozwinęli się w kierunku na Celinów — Suchą Wolę — Basinów, uderzyli szerokim frontem. Między szkieletami rozbitych i spalonych wozów, które pozostały po szarży kompanii porucznika Tarajmowicza, pełzły znowu T-IV, „Pantery", „Tygrysy" i „Ferdynandy", biegła piechota.

Ale tym razem na linii wiosek stało już dwadzieścia parę czołgów 2 pułku, zajmował pozycje batalion zmotoryzowany. Brygady i dwie kompanie radzieckie. Trafiła kosa na kamień: armacie odpowiedziała armata, czołgowi — czołg, „maschinengewehrom" — cekaemy.

Nasi stali nieco niżej w kotlinkach między chałupami, przysłonięci sadami, ukryci za kopkami zboża. Niemcy przechodzili linię horyzontu, czarne sylwetki na czerwonym od zachodzącego słońca niebie stanowiły dobry cel. Ponieśli duże straty, ale nie zalegli. Zsunęli się niżej, cisnęli mocno na obronę.

Zmotoryzowany batalion toczył swą pierwszą bitwę. Parę godzin temu, gdy przechodzili przez Wygodę, zaskoczył ich nagły napad ogniowy ciężkich moździerzy. Tuż potem, gdy zajęli stanowiska, zaatakowały bombowce. Straty przed bitwą nie wpłynęły dobrze na samopoczucie żołnierzy. Gdy esesmani podeszli na odległość szturmową, ogień naszych piechurów stał się nerwowy, pospieszny, w gorączce

bitwy zapominali o przestawianiu celowników i serie szły górą.

W tym jednak krytycznym momencie na tyły prawego skrzydła Niemców wyszło osiem pracowitych czołgów polskich i piechota starszego lejtnanta Mamedowa. Poderwane radiowym rozkazem, ruszyły do kontrataku 1 i 2 kompanie 2 pułku czołgów.

Oficerowie podnieśli batalion zmotoryzowany z okopów.

— Naprzód!

Wybiegli pierwsi. Ważne, żeby zachęcić plutony do biegu — strach zostaje w tyle, nie nadąża.

Tak było i tym razem. Wzięci w krzyżowy ogień, lękając się okrążenia, Niemcy cofnęli czołgi, a za nimi ostrzeliwując się pobiegła piechota. Na zrytym gąsienicami polu przybyło parę stalowych wraków i przeszło setka trupów.

BITWA O WIEŚ

Świtać poczęło o wpół do czwartej. Lasem od strony Paprotni podeszły wozy z amunicją i cysterna z ropą. Podporucznik Kazimierz Olszewski, zastępca dowódcy 1 kompanii do spraw politycznych, przyprowadził wystraszonego kucharza wraz z kuchnią pełną gorącej kaszy ze świniną. Między drzewami było szaro i rześko. Czołgiści myli twarze obfitą rosą, z pełnymi menażkami wracali do wozów.

Teraz dokładnie widzieli przedpole. Droga z Paprotni, którą osiodłali, wychodziła z lasu na żwirowaty ugór pokryty kępkami suchej trawy. O sto metrów dalej tkwiły wzdłuż niej kominy, piece, murowane fragmenty ścian — to, co zostało ze Studzianek. Ruiny te sięgały do rozstaju dróg, przy którym ocalała kapliczka, krzaki jakieś, drzewa, a dalej widniały masywne zabudowania folwarku i nieco w lewo sterczał komin cegielni.

Wozy tkwiły zamaskowane między sosnami. Skraj lasu był nierówny, postrzyżony w zęby chłopskimi wyrębami. Przed nim leżał piach żółty, czerwonawy, mchem suchym przyprószony, widniało parę krzyży na wiejskim cmentarzyku.

Nim dojedli, przyjechał łazikiem liniowy zastępca dowódcy 2 pułku czołgów, porucznik Władysław Świetana. Przywiózł rozkaz rozpoznania walką, a jeśli się uda, to zajęcia i utrzymania Studzianek.

Świetanę darzyli w pułku sympatią i szanowali. Pochodził z Lublina. We Wrześniu był w armii i właśnie niedaleko ujścia Radomki przeprawiał się w odwrocie przez Wisłę. Do Sielc przybył jako jeden z pierwszych. Szkołę pancerną w Rybińsku skończył jako jeden z najlepszych. Nosił widać w plecaku buławę, jeśli nie marszałkowską, to pułkownikowską na pewno, bo umiał dowodzić ludźmi i maszyny były posłuszne jego mocnym, stanowczym dłoniom. Twarz miał przystojną, pogodną, lubił żart i uśmiech. Tylko w kącikach prostych ust czaił się upór.

Atak wyznaczono na godzinę 5.00.

Ruszyli bez przygotowania ogniowego licząc na zaskoczenie. Pokrzepiona śniadaniem zmotoryzowana kompania poderwała się żwawo. W tumanach kurzu wpadli między ruiny wsi, lecz tu nagle trafili na silny ogień. Przystrzelane kaemy biły płasko z lasu po prawej, kładąc naszą piechotę. Od czoła, z folwarku, grzmiało ponad dziesięć luf z zamaskowanych „Tygrysów" i „Ferdynandów". Strzelały działa ppanc. i bateria pułkowych moździerzy.

Nasi dość sprawnie wmanewrowali wozy za kominy i ściany, odpowiedzieli ogniem z miejsca. Piechurzy, ukryci w lejach po pociskach i piwnicach, poczęli ustawiać cekaemy i odpowiadać hitlerowcom. Zahukały ostro rusznice ppanc.

Wymiana strzałów trwała z pół godziny bez większego skutku. Paru rannych odesłano do lasu, dwu przydźwigali sanitariusze. Pod jednym z czołgów zarwało się sklepienie piwnicy, na której stanął, ale Świetana natychmiast pchnął transporter do przodu: zaczepili wyciągnęli. Obok, na innym, pocisk rozbił gąsienicę — technicy pod kulami wymienili ogniwo, spięli ją na powrót. Na folwarku coś się zapaliło

od pocisku. w spokojnym powietrzu stanął rudy, wysoki słup dymu.

Wówczas nadleciał klucz Stukasów. Znurkował ostro i obłożył bombami wioskę. Znikła w kłębach dymu i kurzu, przetykanych jaskrawym płomieniem. Szturmowce zaatakowały raz jeszcze ogniem broni pokładowej, ale zaraz odskoczyły i nisko nad lasem poszły na zachód. Wyżej, spod bezchmurnego nieba, pognała za nimi para ostronosych Jaków.

Grzyby eksplozji osiadały z wolna, kurz ciemniał i Świetana przez lornetkę mógł policzyć czołgi. Odetchnął z ulgą — żaden nie płonął. Prowadziły dalej ogień. „Ale piechocie dostało się solidnie" — pomyślał.

Od folwarku dobiegło dudnienie motorów i zgrzyt gąsienic. Brudnoszare głazy, krzesząc żółte iskry wystrzałów, potoczyły się ku wiosce. U rozstajów z okrzykiem ruszyły sylwetki w hełmach i łaciatych panterkach.

— Spadochroniarze, psiakrew! — zaklął Świetana. — A czołgów idzie sporo. Nasi nie wytrzymają.

Pchnął dwu łączników na skrzydła, żeby ściągnęli na pomoc radziecką piechotę, a sam przez radio dał rozkaz 1 kompanii, żeby się cofnęła do lasu.

Słyszał, jak milkną nasze cekaemy, i zobaczył grupki piechurów kłusem wybiegające ze Studzianek. Pod osłoną krzaków i cmentarzyka odchodzili na Suchą Wolę, w stronę stanowisk zmotoryzowanego batalionu.

Na fali radiostacji dowódcy pułku zameldował o sytuacji. Niespodzianie do rozmowy włączył się generał Mierzycan.

— Poślijcie 2 kompanię na pomoc Świetanie. Słyszycie?... A ty, Włodek, walcz w miejscu, póki nie przyjdą posiłki. Jak się cofniesz, nie chcę cię widzieć

na oczy. Zrozumiałeś? Działaj, a ja ci tam trochę ognia podrzucę.

Bitwa przeniosła się na skraj lasu. Nasze czołgi bez strat odeszły na pozycje wyjściowe, spomiędzy pni siekły z kaemów do esesmanów, wiodły armatni pojedynek z „Tygrysami". Niemieckie tanki przesuwały się coraz bliżej, szły jednak ostrożnie, od zasłony do zasłony, nie wystawiając pancerzy pod ogień.

„Kiedy dojdą do ostatnich ruin, wszystkie naraz dadzą gazu i wcisną nas do lasu, a tu spadochroniarze porozwalają nam wozy panzerfaustami" — martwił się Świetana. Gońcy posłani po piechotę nie wracali.

Wywołał przez radio podporucznika Helina:

— Pomóżcie, bo nas wykończą.

Czołgi 3 kompanii 1 pułku, nie zdradzające dotychczas swych stanowisk, oddały salwę. Trzy z czterech pocisków przebiły boczny pancerz „Tygrysa" i eksplozja amunicji rozerwała maszynę na strzępy.

W stronie Paprotni stęknęło naraz kilka dział. Wysoko górą przeszumiało stadko pocisków i spadło gradem na Studzianki — strzelał dywizjon radzieckich haubic, wezwany przez generała Mierzycana. Ogień był nie obserwowany, kładziony według mapy, ale po salwie niemieckie czołgi cofnęły się, by wyjść z jego zasięgu.

Wrócił jeden z łączników. Przywiódł dwunastu radzieckich piechurów pod dowództwem ospowatego sierżanta. Mieli 3 erkaemy, 9 automatów i 2 karabiny snajperskie. Z pół słowa pojęli, o co chodzi. Zajęli stanowiska. Krótkimi seriami przegnali esesmanów z ugoru przed wsią. Strzelec wyborowy wyłuskał zza komina oficera z lornetką.

Ledwo jednak ucichły haubice, usłyszeli znowu warkot silników i dostrzegli ruch czołgów między folwarkiem a wsią. Świeża kompania spadochronia-

rzy skokami wpadła między spalone domy, dołączyła do pierwszej linii.

Świetana nie wytrzymał: zajął miejsce w jednym z czołgów, którego dowódca był ranny.

— Odpierać atak ogniem z miejsca — rozkazał przez radio.

Niemieckie tanki ruszyły na nasze prawe skrzydło. Szły osłonięte sadami. Widać było tylko kurz i migot słońca odbitego przez wypolerowane ogniwa gąsienic.

— Przeciwpancernym ładuj! — rzucił nie odrywając oczu od celownika.

„Tygrys" obalił jabłoń, pędem wypadł z sadu i skręcił, by skryć się za kominem.

Świetana przydepnął pedał spustowy. Odrzut szarpnął działem, wyrzucił łuskę. Wdychając smród prochu porucznik dostrzegł błysk na pancerzu wroga, błękitny płomyk. „Tygrys" stanął, klapa włazu odskoczyła gwałtownie i wylazł z niej jeden, drugi Niemiec, trzeci...

— Odłamkowym!

Wypalił do wiejącej załogi, posiał z kaemu, widząc kątem oka następną maszynę wynurzającą się już zza drzew.

— Przeciwpancernym ładuj!

Dostrzegł, jak pocisk zrywa jakąś blachę i odpryskuje rykoszetem. „Tygrys" gnał na pełnym gazie.

— Ładuj!

Wieżowy wyszarpywał pocisk ze zbyt ciasnego uchwytu. Mijały sekundy.

Bitwa wrzała na całej linii. Kropiły wszystkie działa, a strzelcy-radiotelegrafiści dwa razy już kładli ogniem z kaemów tyralierę spadochroniarzy.

— Gotowe — usłyszał w słuchawkach wraz ze szczęknięciem zatrzaskiwanego zamka.

Wiódł tę rozpędzoną maszynę cały czas na celowniku, więc tylko odłożył poprawkę w dół na wyprzedzenie i dał ognia.

Czołg jeszcze potoczył się siłą bezwładu i stanął sto metrów przed lasem. Ci wewnątrz otworzyli właz, lecz nie mieli sił lub bali się wyleźć.

— Mechanik, naprzód! — podał komendę. — Pod tego „Tygrysa".

Świsnął rozrusznik, pognał koło zamachowe na coraz wyższe obroty i szarpnął wałem silnika. Ruszyli, wywinęli się zza drzew na słońce i podjechali do unieruchomionego czołgu.

Świetana wyskoczył z pistoletem w garści, przerzucił ciało z pancerza na pancerz i za kark wyciągnął rannego dowódcę. Nadbiegającym piechurom oddał dwu następnych, ogłuszonych trafieniem, i krzyknął:

— Wiejemy!

Była najwyższa pora, bo na wraku skupił się ogień.

Dwa T-34 wypełzły spomiędzy drzew, osłoniły z boków czołg Świetany i cofnęły się razem z nim.

W tym momencie z głębi lasu wyszły zakurzone wozy 2 kompanii 2 pułku przysłane na pomoc. Było ich dziewięć. Gdy pędzili drogą przez Suchą Wolę i Celinów, pocisk z przyczajonego w zasadzce „Ferdynanda" trafił w maszynę dowódcy plutonu, chor. Franciszka Perkowskiego, zerwał z niej wieżę odrzucając ją o 20 metrów.

Plutonami zajęli stanowiska w prawo od 1 kompanii. Przewaga ognia zmusiła Niemców do odwrotu. Przycichło nieco. Nawet spadochroniarze cofnęli się na skraj wsi i tam widocznie umacniali swe pozycje postrzeliwując z rzadka.

Jeńcy przyszli do siebie i kiedy się zorientowali, że nie zostaną natychmiast rozstrzelani (uprzedzono ich, że Polacy nie biorą nikogo do niewoli), odpowia-

dali hardo. W każdym razie Świetana upewnił się, że ma przed sobą batalion „Zielonych Diabłów", którego większość biła się już z Rosjanami, Anglikami, Francuzami i Amerykanami. Prócz spadochroniarzy, jak wynikało z mapy znalezionej przy dowódcy rozbitego „Tygrysa", na folwarku i w lesie za nim było jeszcze 4 lub 5 innych kompanii, bateria „Ferdynandów" i więcej niż kompania czołgów.

Odesłali Niemców na tyły, do sztabu Brygady, a sami ćmiąc długie, machorkowe skręty, wypoczywali. Nad jednym z wieżowych siedział sanitariusz i karmił go proszkami. Żołnierz był półprzytomny, gdyż w wozie zaciął się wentylator i gazy prochowe spowodowały zatrucie.

Odpoczynek trwał niedługo — spoza linii frontu poczęły bić w las ciężkie moździerze i wegnały załogi do maszyn. Spoceni i wściekli siedzieli pod zamkniętymi włazami czekając na nowy atak hitlerowców. Odłamki dzwoniły po wieżach, ścinały gałęzie z drzew.

Świetanie zdawało się w pewnym momencie, że słyszy sygnał samochodu, a w chwilę później ktoś zastukał w pancerz jego włazu.

— Czego tam?

— To ty, Świetana?

Ze zdumieniem poznał głos generała.

— Coście się tak pozamykali? Dostukać się nie można...

Wyskoczył czym prędzej. Zameldował się Mierzycanowi.

Nowa seria min rąbnęła na brzegu lasu. Sypnęło piachem i żwirem. Duży odłamek rykoszetował na czołgu i wbił się w sosnową korę.

Generał otrzepał pył z polówki o kolano.

— No i jak tu u was? Utrzymałeś pozycję.

— Wejdźcie, generale, do wozu. Mogą was ranić.
— Mnie? Jeszcze tego nie potrafią, zasrańcy.
— Generale...
— No dobrze. Nie płacz.
Mimo tuszy zgrabnie wspiął się po gąsienicy.
— Otwieraj szeroko właz, żebym nie utknął w pół drogi... Poczekaj. Ja się mieszczę w tej dziurze tylko na wydechu... Pchaj!
Wspólnym wysiłkiem Świetany i wieżowego wcisnęli generała do czołgu. T-34 rzeczywiście nie był robiony na jego miarę.
— Chodź tu, Świetana. Do środka. Porucznika może taka mina uszkodzić, a byłoby mi ciebie szkoda.
Pochylając głowę dowódca Brygady oglądał przez celownik przedpole i wraki stojących na nim tanków. Jak muszle krabów znaczą zasięg przypływu, tak trupy esesmanów znaczyły miejsca, dokąd dotarły fale natarcia. Zabici z naszej kompanii zmotoryzowanej leżeli dalej, między ruinami i na wiejskiej drodze.
— Słyszałem, Świetana, żeś dwa „Tygrysy" rozwalił.
— Dwa, obywatelu generale.
— Dobrze. Wojuj tak dalej, to do Virtuti przedstawię... Tylko bądź ostrożniejszy. Jeśli możesz ich bić z zasadzki, nie wyprowadzaj czołgów w pole... Wiesz, jak 3 kompanię z 1 pułku poharatali? Tarajmowicz zginął, Gajewski, Dackiewicz, Gusławski...
— Wiem. Mówił mi Helin.
— No widzisz. Więc bez potrzeby nie ryzykuj. Sam czołgu nie prowadź — nie pozwalam. Trzymaj ich tutaj, nie daj się przerwać na Paprotnię, ale sam nie atakuj. O zmierzchu przerzucę do wsi kompanię z naszego batalionu. Będziesz miał osłonę.
— A kiedy uderzymy na folwark?

— Czekaj spokojnie. Napoleon, psiakrew, od siedmiu boleści. Najpierw trzeba im odciąć drogę odwrotu na Grabnowolę. Załatać wyłom. A potem, jak będą w kotle, popieprzymy, damy ognia i ugotujemy na surowo tego „Hermanna Goeringa".

Moździerze umilkły. Generał wylazł z czołgu, gadając z pancerniakami wykurzył fajkę. Odjeżdżając podał Świetanie falę, na której pracowała radiostacja rosyjskiego dyonu haubic. Wystarczyło poprosić o „Begiemota", żeby dali zaporowy ogień na wieś.

Dzień minął, tak jak się zaczął — parę razy jeszcze hitlerowcy próbowali ataku, bombardowały las Heinckle (niecelnie zresztą) i nękała nalotami ogniowymi artyleria.

O zmierzchu pocisk unieruchomił czołg plutonowego Goldfarba tkwiący na wysuniętym stanowisku. Mechanik i wieżowy byli ranni. Do wozu podkradali się w ciemności esesmani. Podczas gdy radiotelegrafista ostrzeliwał się resztkami amunicji, plutonowy nakładł w plecak piętnaście granatów i wyskoczył do leja po ciężkim pocisku. Spadochroniarze podpełzli do maszyny i skoczyli, by wziąć ją szturmem. Goldfarb zasypał ich granatami. Gdy nadeszła odsiecz, spływał krwią. Zabrali go sanitariusze, a w punkcie opatrunkowym chirurg wyjął mu z ciała trzydzieści odłamków.

Nocą spadochroniarze cofnęli się do rozstajów dróg, a nasza kompania ze zmotoryzowanego baonu zajęła ponownie zachodnią część wsi.

Technicy przyświecając ostrożnie latarkami naprawili cztery czołgi uszkodzone w dziennym boju.

Z Brygady, razem z kuchnią, przyjechał jeden z oficerów sztabu i opowiedział, że w ciągu dnia 1 kompania 1 pułku wraz z piechurami 142 pułku

radzieckiej piechoty odparła parokrotne ataki Niemców wychodzące z rejonu krzyża i leśniczówki.

Po północy, w stronie frontu, rozpoczęła się gwałtowna strzelanina i trwała prawie do świtu. Telefoniści rosyjscy przynieśli wieść, że to 100 pułk piechoty i bataliony 137 pułku zlikwidowały przerwę między 35 i 47 dywizją. Hitlerowskie oddziały w folwarku zostały okrążone, na kociołek opadła pokrywa.

Jeśli wolno wrócić do naszych bokserskich porównań — drugą rundę zakończono w sytuacji zdecydowanie nieprzyjemnej dla Panzerfallschirmjaeger Division Waffen SS „Hermann Goering". W jej sztabie zdjęto z map kalki z wykreślonymi kierunkami natarcia i rozpoczęto opracowywać plan wyrwania grupy szturmowej z matni. Sztab IV Korpusu Gwardii 8 Armii generała Czujkowa gotował dane do nokautu.

* * *

Nie przypuszczam, by obie walczące strony postanowiły „dzień święty święcić", ale fakt pozostaje faktem — niedziela minęła stosunkowo spokojnie. A może data — 13 sierpnia — nie sprzyjała zasadniczym decyzjom?

Po południu samoloty niemieckie zrzuciły drukowane po polsku ulotki. „Armia Niemiecka", podpisana obok czarnej „gapy" ze swastyką, ubolewała nad losem „strzelców 1, 2 i 3 dywizji wojska polskiego", którzy łudzą się, że walczą o „wolną, niepodległą Polskę demokratyczną", a są tylko „mięsem armatnim, dobrym mięsem armatnim, tanim mięsem armatnim". Sporo tam było wymysłów pod adresem bolszewików i żydo-komuny, a wreszcie, na końcu, zapewnienie: „Zgodnie z rozkazem Führera nr 13,

każdy, kto przejdzie na niemiecką stronę, otrzyma tę samą ilość prowiantu, co i żołnierz niemiecki, i pracę według życzenia". Aby nie było wątpliwości, u dołu było napisane po niemiecku: „Dieser Passierchein gilt für eine beliebiege Anzahl von Angehorigen des „Wojska Polskiego", die zur deutschen Wehrmacht uberlaufen wollen" *.

Czołgiści chowali je po kieszeniach, bo papier był miękki, z jednej strony nie zadrukowany. Ktoś próbował, czy da się w tym palić machorkę, ale dostał przez łeb saperką:

— Nie uczyli cię, żłobie, żebyś byle g... do gęby nie kładł?

Kiedy zapadła noc, reszta zmotoryzowanego batalionu przybyła do Studzianek i zajęła pozycje. Niemcy z rzadka świecili rakietami, ale nie strzelali. Cicho było i mroczno. Pancerniacy pogadywali szeptem.

W ciszy nocy poprzedzającej szturm rosło napięcie przed bliską bitwą. Niczym puszczyki pohukiwały pojedyncze działa.

---

* Ta przepustka jest ważna dla dowolnej liczby żołnierzy „Wojska Polskiego", którzy chcą przejść na stronę Wehrmachtu.

SZTURM

Jest taka godzina przed świtem, o której budzą się ptaki. Parę minut gaworzą w gniazdkach lękliwie, a potem, uspokojone ciszą, milkną. W sierpniu 1944 roku w studziankowskich lasach ptaków nie było. W swych gniazdach ocknęły się dyżurne kaemy, ryknął z wykrotu przebudzony „Tygrys" i ucichło.

Zwiadowcze patrole zmotoryzowanego baonu zajęły opuszczone przez Niemców ruiny cegielni. Posłali łączników po drużynę rusznic i dwa, trzy „Maksymy", żeby wzmocnić obronę.

Do sztabu Brygady powrócili zmęczeni, wymazani smarami oficerowie techniczni. Młodzi podporucznicy z wydziału operacyjnego i zwiadowczego składali meldunki swym szefom, przy świetle nagiej żarówki podawali rozmieszczenie plutonów i kompanii.

Do ziemianki wszedł generał Mierzycan — wygolony, pachnący wodą kolońską i fajkowym dymem, w świeżo odprasowanym mundurze, z twarzą skupioną i poważną. Choćby tego jednego wystarczyło, by zrozumieć, że właśnie dziś będzie żołnierskie święto — kulminacyjny punkt bitwy.

Generał pochylił się nad mapą. Sprawdzał. Kompanie 1 pułku łańcuszkiem wzdłuż linii frontu: od wschodu, pod Chodkowem, druga; w centrum, nad leśną groblą, pierwsza, na prawym skrzydle, na za-

chód od drogi Studzianki — Grabnowola, wykrwawiona trzecia... W porządku.

A teraz 2 pułk. W lesie na północny zachód od Studzianek — 1 i 2 kompanie — grupa uderzeniowa. Między Suchą Wolą i Basinowem 3 kompania przygotowana do manewru oskrzydlającego. Batalion zmotoryzowany zajmuje cegielnię i zachodnią część Studzianek. W porządku.

A przeciwnik? No cóż, to starzy, doświadczeni żołnierze. Zrobili, co mogli najlepszego zrobić w tej sytuacji — zajęli okrężną obronę na najwygodniejszych pozycjach. Od wschodu trzymają skrzyżowanie dróg w Studziankach i krawędź lasu. Od zachodu — las pod krzyżem. Centrum stanowi obszerny folwark z murowanymi, kamiennymi budynkami. Stoi na lekkim wzniesieniu, widać z niego całe przedpole i wystarczy tylko obrócić wieżę na czołgu, by wesprzeć stąd ogniem każdy zagrożony odcinek.

„Wczoraj jeszcze — pomyślał generał — uderzając wszystkimi siłami wzdłuż drogi na Grabnowolę, mogli wywiać do swoich. Powstrzymano ich rozkazem, obiecano, że z południa przerwie się pomoc. Dziś już nie ujdą. Za późno..."

Prawie dotykalnie odczuł upór, wolę tamtego dowódcy dywizji, oberführera, który wydaje rozkazy po drugiej stronie frontu. Odczuł groźną jeszcze moc tkwiącą w zaciśniętej, skręconej niczym sprężyna grupie szturmowej spadochroniarzy i czołgów broniących folwarku. Brygada miała ich dziś nie odrzucić, lecz zgnieść, zmiażdżyć, unicestwić, by nigdy już, na żadnym froncie, nie tratowali cudzych pól.

I odczuł jeszcze krążącą wraz z krwią w żyłach siłę. Wiedział, że może ich zmiażdżyć i że to uczyni. Przyczajone w przedświcie czołgi są mu posłuszne jak palce u rąk zaciśnięte w pięść.

Pomyślał o ludziach. Młodzi są, rozpoczynają życie od twardej, frontowej żołnierki. Mają dziś zwyciężyć fachowców od zadawania śmierci i zrobią to. Przedtem przeczuwał, a dziś, po paru dniach bitwy, wiedział, że może im ufać. Na mazowieckiej ziemi wezmą odwet, za tamtych, poległych na Westerplatte, których imię noszą na sztandarze.

Pod przymkniętymi powiekami zobaczył piekło bitwy, śmierć przenikającą przez pancerze, i na ułamek sekundy serce drgnęło mu żalem, że nim dzień minie, nie wszystkim będzie mógł uścisnąć rękę, nie wszystkich będzie mógł obsztorcować na najbliższej odprawie.

Otworzył oczy i wyprostował się. Regulaminy nie przewidują przydziału takich myśli dla generałów dających rozkaz do szturmu.

Za szybką ziemianki błękitniało niebo.

— Dzień będzie gorący — powiedział. — Kwatermistrz, dajcie coś do żarcia. A ty — zwrócił się do Peli, sztabowej radiotelegrafistki — nawiąż łączność ze Świetaną.

Trzasnęły wyłączniki. Dziewczyna w pancerniackim mundurze, z biało-czarnym proporczykiem na kołnierzu, zawołała miękko głosem, którym dziewczyny budzą nad ranem swych chłopców:

— Birka, Birka! Tu Siano, tu Siano... Podstrój aparat: raz, dwa, trzy, cztery, pięć... Jak mnie słyszysz? Przechodzę na odbiór...

Parę minut po 5.00 Niemcy otworzyli ogień. Tłukli gwałtownie przez dwadzieścia minut z dział i moździerzy, przerzucali ogień po lesie, ostrzelali cegielnię. Armaty „Ferdynandów" z folwarku rozwaliły dwa kominy w Studziankach. Ani nasi, ani Rosjanie

nie odpowiadali czekając ataku. Ale strzelanina ucichła i nic się nie stało. Cisza.

Generał wezwał Świetanę do radiostacji.

— Co tam u ciebie?

— Nie poszli, obywatelu „czterdziesty". Grusza dojrzała... — znaczyło to według szyfru gotowość do ataku.

— To dobrze — przerwał mu Mierzycan. — A ja jem ogórki. Nie szukaj w tablicy. Naprawdę ogórki, kiszone. Przysłać ci parę? Jedliście śniadanie?

— Tak jest, obywatelu „czterdziesty".

— To dobrze. Oni, rozumiesz, tracą cierpliwość, strzelają. A ty się nie denerwuj. Rozumiesz?

Przed 7.00 powtórzyło się to samo — gwałtowny ogień, kurz, dym, odłamki dzwoniące po pancerzach i... cisza.

Rozmowa z generałem była podobna, z tym że już nie wspomniał o ogórkach.

— Jakie straty? — spytał na zakończenie.

— U nas żadne, a w batalionie dwu rannych.

— To dobrze. Nie denerwuj się. Rozumiesz?

Narastał upał. Nad ruinami powietrze poczęło drgać i świecić. Załogi siedziały w cieniu, przy maszynach.

Młodziutki, osiemnastoletni radiotelegrafista z czołgu chorążego Gaja, kapral Stach Rzeszutek, niecierpliwił się. Strugał kozikiem jakiś patyk i biadolił:

— My siedzimy, a oni poderwą się z miejsca, przebiją przez front i uciekną.

Lubili tego chłopca. Wesoły, uczynny, a że był szczupły i drobny, to podczas przeglądów maszyn, kiedy wyjmowano akumulatory, właził do środka i wycierał olej pod silnikami.

Dowódca sąsiedniego czołgu, Janek Szymański, warszawiak, jak to mówią „oblatany facet", tłumaczył mu:

— Albo to ci źle? Odpoczywasz sobie w cieniu, a oni się smażą pod pancerzami i oczy wypatrują. Słonko idzie do góry — nie będzie nam w oczy świecić, jak pójdziemy. Pod Grunwaldem tak samo było. Rozumiesz, niemieccy rycerze wyszykowali się w polu na koniach, tkwią w pancerzach na słońcu, a chytry Jagiełło naszym z lasu nie każe wychodzić, czeka. Dla pozoru aż trzy msze pod rząd zamawiał. Dlatego też Krzyżacy mu miecze przysłali, bo się w tych swoich brytfannach smażyli i mieli pietra, że im konie popadają...

Na motocyklu podjechał łącznik, wręczył porucznikowi Świetanie zalakowaną kopertę. Była w niej tylko mała kartka: „Godzina »zero« — 8.00", i podpis: Jan Mierzycan, gen. brygady. Resztę ustalono jeszcze nocą: miały nacierać dwa plutony, bo miejsce wąskie, i wykonać szturm z kompanią naszej piechoty.

O 7.45 uderzyły radzieckie działa. Dobrze wstrzelane, biły w folwark, skrzyżowanie dróg i las w prawo od niego. Nad pozycjami Niemców wyrosła ściana kurzu i dymu.

— Do maszyn!

W tym momencie spoza frontu nadleciały chichocząc ciężkie miny. Odłamek trafił podporucznika Pawła Popowa, doświadczonego wygę spod Stalingradu, który miał poprowadzić atak. Martwy, opadł na pancerz wieży, głową w dół. Nogi ugrzęzły we włazie.

Zdjęli go, ułożyli na trawie z niepotrzebnym już hełmem pod głową. Porucznik Świetana, zapominając o rozkazie generała, skoczył na miejsce zabitego. Czas był najwyższy.

— Naprzód!

Kiedy wypadli z lasu, wybuchy na niemieckich liniach poczynały już rzednąć.

Świetana zaklął szpetnie w duchu i podał przez radio:

— Z życiem, panowie! Gaz!

Trudno dziś stwierdzić, czy rzeczywiście zaważyła ta chwila zwłoki po śmierci Pawki Popowa. W każdym razie jeszcze na żwirowatym i piaszczystym ugorze przedleśnym dostali ogień z folwarku i skrzyżowania dróg.

Pocisk trafił w czołg chorążego Gaja, zabił kierowcę i ranił Staszka Rzeszutka. Trup zawisł na prawym drążku, maszyna poczęła skręcać na wóz chorążego Szymańskiego. Rzeszutek rękawem starł krew z twarzy, zobaczył przez wizjer, że lada moment się zderzą. Zepchnął ciało kierowcy, wysprzęglił, przerzucił biegi na luz i... zemdlał.

Drugi pocisk z „Ferdynanda" uderzył w nieruchomy czołg, rykoszetował na wieży.

— Ładuj! — rozkazał Gaj.

Odpalił w kierunku błysku.

— Ładuj! Ładuj!

Rąbał raz po raz. Śpieszył się. Wiedział, że nieruchomy, na otwartym polu, stanowi łatwy cel. Opuścić wozu nie chciał. Jak to się pisze w powieściach, „postanowił drogo sprzedać życie" albo może po prostu był zły, że traci maszynę.

Uratowały go niemieckie szturmowce: wyskoczyły na małej wysokości znad lasu i zwaliły bomby na Studzianki. Kłęby dymu odcięły czołg od wroga...

Minutę przedtem pozostałe wozy zrównały się ze stanowiskami kompanii. Piechurzy poszli ostro do przodu strzelając w biegu z automatów. Dopadli drogi i tu pierwszych ścięły karabiny maszynowe spadochroniarzy. Przypadli za ceglanymi murkami fundamentów.

Świetana nadjeżdżając widział, jak młodziutki oficer biegnie naprzód z pistoletem w ręku, krzyczy,

chce ich podnieść. Zrobił nie więcej nad dziesięć kroków i dostał kulę.

Władek odpalił granat z lufy.

— Ładuj! — krzyknął i uchylił właz.

Osłaniając się klapą jak tarczą, zagarnął ręką powietrze.

— Skokami! Naprzód, piechury!

Snajper, ukryty na strychu stajni, dostrzegł go. Kula trafiła w środek czoła zastępcy dowódcy 2 pułku czołgów, porucznika Wacława Świetany.

Na czołgi, na tyralierę spadły bomby ze Stukasów. Z wozu chorążego Adama Bieriozki buchnęły płomienie.

Radiostacja z punktu dowodzenia wezwała plutony do odwrotu.

Nikt nie wie i nie będzie wiedział, czy czołg nr 214 usłyszał ten rozkaz. A może jego dowódca, chorąży Jan Szymański, nie był go w stanie pojąć, gdyż toczył bój o drogę do Warszawy. Wóz jego podpalił „Tygrysa" ukrytego między zabudowaniami folwarku, wpadł w pędzie na skrzyżowanie dróg i tu panzerfaust zerwał mu gąsienicę, a pocisk przeciwpancernego działa, wystrzelony z odległości nie większej niż trzydzieści metrów, przebił wieżę.

Załoga opuściła czołg. Wieżowy i mechanik Jakowienko wynieśli pod ramiona dowódcę. Miał nogę urwaną poniżej kolana.

Skoczyli ku nim esesmani.

— *Vergibt euch Polnische legionäre**. Polak, plen...

Radiotelegrafista ułożył dwu z pepeszy. Jakowienko cisnął granat na działo, które ich trafiło, ale nie dorzucił. Padli skoszeni serią z kaemu. Szymański

---

* Poddajcie się, polscy legioniści...

leżąc w tłustym, miałkim pyle drogi przy ogrodzeniu kapliczki dźwignął jeszcze głowę i dwa razy wystrzelił z pistoletu.

Wracające maszyny osłoniły pancerzem czołg chorążego Gaja. Zastępca dowódcy kompanii do spraw politycznych, podporucznik Aleksander Marczuk, wyskoczył ze swego wozu, pod silnym ogniem maszynowym zaczepił linę holowniczą. Kiedy się skryli między drzewa, Gaj wyciągnął przez przedni luk strzelca Rzeszutka i poniósł go na rękach do sanitariuszy.

Chłopak płakał. Łzy mieszały się z krwią na pokiereszowanej twarzy, ciekły Gajowi po rękach.

— Boli? — spytał. — Trzymaj się. Czołgiści nie płaczą.

— Ja nie z bólu — Rzeszutek otworzył podsiniaczone oko. — Ze złości...

* * *

O 10.00 przyjechał na swym Willisie generał Mierzycan. Rozkazał szykować do ataku trzy plutony, a sam poszedł do Popowa i Świetany. Leżeli obok siebie w zaroślach młodziutkich dąbków. Zdjął połówkę i stojąc żegnał się w myślach z nimi, z lubliniakiem i stalingradczykiem.

O 10.30 nadszedł niewielki batalion starszego lejtnanta Mamedowa, tego samego, który w piątek walczył wspólnie z 1 kompanią 1 pułku w rejonie krzyża, na wschód od Studzianek. Teraz mieli uderzyć na folwark jako grupa szturmowa z plutonem T-34 podporucznika Tenenbauma. Dwa skrzydłowe plutony miały być wsparte przez piechurów zmotoryzowanego baonu.

O 10.45 radzieckie działa rozpoczęły przygotowanie artyleryjskie. Biły celnie, ale jak by rzadziej, bardziej powoli niż rankiem.

Generał dał rozkaz: „Do maszyn", patrzył chwilę na pozycje niemieckie, a potem siadł przy radiostacji i obojętnie kurzył fajkę.

Mijały minuty. Pięć, siedem, dziesięć... Niemcy poczęli odpowiadać z folwarku armatnimi strzałami. Przesunęli widocznie do przodu jakieś czołgi, bo w prawo od skrzyżowania podniósł się tuman kurzu i warkot silników.

W stronie frontu, w rejonie wzgórza 132,1 na linii grobli, buchnęła nagle gęsta strzelanina.

Mierzycan uśmiechnął się i patrzył w niebo poprzez konary sosen. Czekał...

Wreszcie przyszły — dziewiątka Heinckli. Dowódca prowadzącego klucza, nie widząc czołgów w Studziankach, znurkował lekko i zrzucił bomby, tam gdzie w powietrzu stał obłok kurzu. Jak ostronose, żarłoczne ryby, błysnęły w słońcu i spadły na folwark.

Generał wyjął fajkę z ust i rozkazał radiotelegrafiście:

— Nadaj sygnał „888" do radzieckiej artylerii.

Jednocześnie z drugą serią niemieckich bomb zwalił się na stanowiska spadochroniarzy grad pocisków. Wysokim łukiem szybowały nad naszymi pozycjami, gnały jeden za drugim, grzęzły w kurzawie i dymie krzesząc ostre, wystrzępione po brzegach błyski.

Mierzycan wyjął mikrofon z rąk radiotelegrafisty:

— Zaczynaj, Tenenbaum. Wal prosto w dym!

Trzy maszyny skoczyły do przodu jak spięte ostrogami husarskie konie. Za nimi kłusem Mamedow ze swym batalionem z 50 ludzi.

Ostatni klucz Heinckli spostrzegł, co się dzieje, wydłużył skręt i wysypał bomby nad lasem.

— Koziniec i Turski — naprzód!

Czołgi dwu plutonów wytoczyły się z lasu, tłukąc z dział brały rozpęd. Seria źle wymierzonych bomb rąbnęła przed nimi. Nie zmniejszając szybkości weszli w śmierdzącą trotylem kurzawę, wynurzyli się z niej przy pierwszych kominach Studzianek.

Chorąży Turski zobaczył w peryskopie gnający na przedzie pluton Tenenbauma, sylwetki piechurów Mamedowa biegnących za nim i błysk armatniego wystrzału na skrzyżowaniu dróg. Zatrzymał swój czołg i jeden po drugim wlepił w to miejsce trzy granaty.

Ruszył znowu, dojrzał wstający do szturmu baon zmotoryzowany i nagle wszystko znowu zniknęło w eksplozjach, kurzawie i dymie — to cała dziewiątka Heinckli w drugim nalocie wypróżniała bombowe luki nad Studziankami.

* * *

Podporucznik Leon Tenenbaum tego nie widział. Jego pluton jeszcze na przedleśnym ugorze przeszedł w cwał. Niczym wicher przemknęli przez wieś. Mechanicy gnietli „do deski" pedały gazu, załogi wtulone w pancerz kurczowo trzymały się uchwytów. Na skrzyżowaniu dróg odłamki pocisków własnej artylerii zastukały po wieżach, ale nie czas było o tym myśleć. W przelocie podpalili „Ferdynanda" i... spostrzegli, że są na miejscu.

Z prawej piętrowy dwór, po lewej kuźnia, kurnik, czworaki... Na wprost rozwaliny parnika, stajnia, obora. W głębi błyszcząca tafla stawu, stodoła i spichrz. Budynki solidne, murowane z kamieni czarnych, czerwonych, brązowych i szarych.

W okienkach pręty żelazne, pionowe, z ostrymi zadziorami. Nim czołg wyhamował na folwarcznym podwórzu, Leon zdążył jeszcze wsunąć w te okienka dwa pociski. Słyszał, jak radiotelegrafista siecze z kaemu, a jednocześnie nadaje:

— Ja Klon, ja Klon... Folwark zdobyty.

Po pancerzu dzwoniły kule, tuż obok eksplodował ciężki granat. Podporucznik dojrzał w lustrze peryskopu, jak bokiem, przygięci ku ziemi, esesmani dopadają czołgu chorążego Bestlera. W cętkowanych panterkach i hełmach zręcznie skakali na gąsienice.

Tenenbaum poczuł zimny pot na karku: „Nie, nie zdobyliśmy, lecz ugrzęźliśmy w folwarku. Psiakrew!" Było tu zbyt ciasno, by walczyć. Zbyt blisko, by strzelać. Niemcy poruszali się w martwym polu.

— Wołaj o piechotę — rozkazał radiotelegrafiście, a sam zębami wyrwał zawleczkę granatu i cisnął go przez uchylony właz.

Bestler zrobił to samo, położył czterech, ale z drugiej strony lazło pięciu innych.

— Mechanik — rozkazał dowódca plutonu. — Zwrot o 180, i wal w tę wodę.

Ryknął silnik, ktoś zawył, miażdżony gąsienicą, i czołg w bryzgach błota przeskoczył stawek.

Tenenbaum spojrzał w celownik i jęknął z wściekłości: esesmani wywlekli załogę z czołgu, dźgali nożami, a jeden bił łomem Bestlera skrytego po piersi w wieży.

Podporucznik nacisnął spust karabinu maszynowego, długą serią przygiął spadochroniarzy do ziemi.

W tej samej chwili zza czworaków wybiegł starszy lejtnant Mamedow z pistoletem w garści, a za nim jak żbiki czerwonoarmiści. Grupami po pięciu, sześciu dopadali budynków, ciskali granaty w okna, wywalali granatami drzwi i wrota, skakali w ciemne

wnętrza siejąc kulami z automatów. Tuż obok grzmiały już działa plutonów Kozińca i Turskiego.

Jeden z czołgów wpadł na podwórze i stanął. Z wnętrza maszyny wyskoczył kapral Daniel Wagner, radiotelegrafista, rzucił się na pomoc Bestlerowi, a za nim czerwonoarmiści. Z automatów położyli dwu spadochroniarzy. Wagner zajął miejsce zabitego mechanika, cofnął czołg w ukrycie, pod ścianę dworku. Tam wyciągnęli rannego Henryka Bestlera, ułożyli na trawie. Półprzytomny, miotał się, wykrzykiwał komendy...

Batalion zmotoryzowany minął folwark, nawiązał kontakt ogniowy z Niemcami siedzącymi w lesie, okopywał się na kartoflisku przed nowym skokiem. Kapral Sidor rozlokowywał swój pluton rusznic ppanc., wykorzystując strzelnice wybite w ścianach przez hitlerowców. W oborze i na strychu magazynu zbożowego terkotały ostatnie serie dopalającego się boju.

— Ja Klon, ja Klon! Folwark zdobyty — cieszyły się radiostacje.

Na prawym skrzydle prowadził czołg oficer polityczny, podporucznik Aleksander Marczuk, syn chłopa spod Lubartowa. Ogień ucichł, Marczuk chciał wyjść z wozu, ale gdy tylko uniósł klapę włazu, zastukała po pancerzu seria z automatu. Poznał dźwięk pepeszy, więc zdziwiony rozejrzał się przez peryskop — ukryty za węgłem czaił się czerwonoarmista.

Szczęściem nadszedł Mamedow i sklął go od pięt do głowy. Śniady, sympatyczny Uzbek tłumaczył się żarliwie:

— Ja patrzyć: na maszynie pticzka namalowana. Gwiazdy nie ma. Oj, oj, duża pomyłka.

Marczuk parsknął śmiechem, a za nim Mamedow.

— On przedtem nie widział waszych czołgów — wyjaśnił lejtnant. — Tuż przed atakiem przysłano mi sześciu ludzi uzupełnienia.

W każdym razie czołg Marczuka zyskał sobie w żołnierzu z Uzbekistanu dzielnego sojusznika i obrońcę — czerwonoarmista pilnował go przez cały dzień i noc, póki ich oddział nie został przerzucony na inny odcinek. Przepraszał Marczuka z dziesięć razy i wreszcie na odchodnym podarował mu skórzany kapciuch na tytoń, wyszywany paciorkami.

W tym samym czasie gdy 2 pułk czołgów, oddział st. lejtnanta Mamedowa i batalion zmotoryzowany zdobyły folwark, 47 dywizja piechoty radzieckiej, w której szykach walczyli pancerniacy 1 pułku, odparła silny atak niemiecki na wschód od wzgórza 132,1.

Nieco później 3 kompania 2 pułku, prowadzona przez oficera politycznego, kapitana Tokarskiego, przeszła przez Wygodę i wzdłuż drogi, w kierunku do krzyża zaatakowała ostatnią zorganizowaną grupę hitlerowców. W walkach toczonych w lesie spłonął trafiony przeciwpancernym pociskiem czołg nr 238 chorążego Henachowicza. Dwu ludzi z załogi zdołało się uratować.

To samo działo zapaliło wóz chorążego Narkowskiego, ale kierowca-mechanik, sierżant Płaksin, nie stracił orientacji — tyłem wtoczył się w gęsty brzeziniak, gałązki zatamowały dopływ powietrza i po chwili maszyna ruszyła znów do walki.

O godzinie 18.00 batalion zmotoryzowany dotarł z drugiej strony do krzyża, opanował las na wschód od folwarku.

Bitwa pod Studziankami była zakończona...

EPILOG

To, co najważniejsze, najbardziej efektowne i dramatyczne, mamy już za sobą, a jednak ostatnie słowa poprzedniego rozdziału nie są prawdziwe. Bitwy w odróżnieniu od przedstawień teatralnych nie mają obowiązku kończyć się efektownie.

14 sierpnia 1944 roku 1 Brygada Pancerna zdobyła Studzianki i folwark, rozgromiła grupę uderzeniową dywizji SS „Hermann Goering", ale jeszcze dwa dni i trzy noce toczyła walki.

Spadochroniarze sami zniszczyli resztki ciężkiego sprzętu, jaki im pozostał — prawdopodobnie dwa czołgi i parę dział — ale nie rezygnowali z prób wydarcia się z matni. Uzbrojeni w broń maszynową, granaty i panzerfausty, podkradali się nocą do naszych czołgów usiłując je podpalić, toczyli walki z piechotą, która je osłaniała.

15 sierpnia o godzinie 23.00 czołgi 2 kompanii 1 pułku atakowały Niemców wraz z 57 dywizją radziecką w rejonie Chodkowa, poprawiając nieco swe stanowiska.

W nocy z 15 na 16 dość silne grupy spadochroniarzy szturmowały stanowiska 1 i 2 kompanii 2 pułku czołgów w lesie na południe od Studzianek, lecz zostały odrzucone przez żołnierzy z batalionu zmotoryzowanej piechoty.

Późnym wieczorem 16 sierpnia, po silnym przygotowaniu artyleryjskim, trzy bataliony z dywizji

„Hermann Goering", wsparte pięcioma „Tygrysami", po raz ostatni uderzyły w kierunku Studzianek. Natarcie odparła radziecka piechota z pomocą czołgów 1 pułku.

Dopiero o świcie 17 sierpnia 1 Brygada Pancerna im. Bohaterów Westerplatte na rozkaz dowódcy Frontu, pod osłoną nawały ogniowej artylerii radzieckiej, opuściła swe stanowiska i odeszła do lasów pod Magnuszewem, jako odwód dowódcy 1 Armii Wojska Polskiego. Dopiero ten dzień można traktować jako datę zakończenia ośmiodniowej bitwy pancernej polskich czołgistów z Panzerfallschirmjaeger Division Waffen SS „Hermann Goering".

* * *

„Kompania ppor. Czyczykowskiego, współdziałając z moim batalionem, odparła pięć ataków niemieckich... Czołgiści wykazali umiejętność prowadzenia walki, wyróżniali się odwagą."

Łaszyn, kapitan gwardii
dowódca batalionu

„Czołgi kompanii por. Helina w wyniku śmiałego manewru wyszły na skrzydło wroga, dzięki nim zdobyliśmy wyznaczone pozycje."

Woinkow, major gwardii
dowódca pułku

„Mimo iż 2 pułk czołgów po raz pierwszy brał udział w boju, pancerniacy tego pułku dali dowody ogromnego męstwa, odwagi i bohaterstwa."

Kułagin, generał major gwardii
dowódca korpusu

„Żołnierze polskiej Brygady bili się wyjątkowo dobrze, dając dowody doskonałej organizacji, dyscypliny, wytrwałości i odwagi. Odpierając bezustanne, zaciekłe ataki przeważających sił piechoty i czołgów przeciwnika, ściśle współdziałając z jednostkami IV Korpusu Gwardii, dzielni czołgiści ani o krok nie cofnęli się z zajmowanych pozycji. Dopuszczając wroga na bliski dystans, niszczyli go celnym ogniem, zadawali mu poważne straty w żywej sile i technice."

Dowódca 8 Gwardyjskiej Armii
Bohater Związku Radzieckiego
Czujkow, generał pułkownik gwardii

Członek Rady Wojennej 8 Gwardyjskiej Armii
Pronin, generał pułkownik gwardii

Naturalnie, cytuję małe fragmenty, i to z niektórych tylko dokumentów. Przytoczenie wszystkich zajęłoby kilkanaście stron. A ludzie, którzy je pisali, znali się na wojnie i widzieli w swym życiu niejedno. Określenie „bili się wyjątkowo dobrze" wychodzące spod pióra bohatera stalingradzkiej bitwy, generała Wasyla Czujkowa, ma swoją wymowę.

Większą jeszcze jednak wymowę, jak zawsze, mają cyfry i suche fakty: najstarsza dywizja Waffen SS doznała pod Studziankami porażki, przegrała bitwę. 1 Brygada Pancerna zadała jej straty wynoszące 1500 zabitych oraz 40 czołgów i dział szturmowych. Jej własne straty wyniosły 257 żołnierzy (61 zabitych, 192 rannych, 4 zaginionych bez wieści) oraz 27 czołgów, z których 9 odremontowano po bitwie. Sceptykom, którzy odniosą się, być może, krytycznie do tych cyfr, pragnę powiedzieć, że w tym wypadku są ścisłe — teren bitwy pozostał w naszym ręku,

sprawdzano je więc na polu walki, a jeśli chodzi o czołgi, liczyli je jeszcze w pierwszych latach po wojnie studziankowscy chłopi, na których polach stały spalone wraki.

Jak wiemy, czołg czołgowi nierówny, tak jak dla myśliwego niejednakowym sukcesem jest upolowanie dzika czy rysia. Cięższy czołg ma mocniejszy pancerz, działo większego kalibru i o większej mocy przebijania.

Dokładna analiza strat obu walczących stron wypada jeszcze bardziej korzystnie dla polskich „towarzyszy pancernych".

Nasze straty bezpowrotne to 18 maszyn T-34 — 18 luf armatnich kalibru 76 mm i 540 ton.

Dywizja „Hermann Goering" straciła 6 ciężkich czołgów T-VI „Tygrys", 1 T-V „Pantera", 16 T-IV, 1 T-III, 13 dział pancernych „Ferdynand" i 3 „Artsturm". Po przeliczeniu wynosi to łącznie: 19 luf kalibru 88 mm, 21 luf kalibru 75 mm i 1763 tony.

* * *

Bitwa pod Studziankami jest mało znana polskiemu społeczeństwu. Na studziankowskich polach rośnie spokojnie żyto, kwieci się łubin, na dzikich gruszach pod Chodkowem dojrzewają cierpkie ulęgałki. W lasach zarastają jeżynami stare okopy. Spokojne dzwonienie chłopskich kos jest jej jedynym pomnikiem. Nie potrafiłem odnaleźć grobu Władka Świetany czy Jana Szymańskiego — podobno prochy ich przewieziono na jakiś wspólny cmentarz.

Nie wiem, czemu przypisać tę niepamięć. Być może, tym właśnie cechom naszego charakteru narodowego, które sprawiają, że znacznie popularniejsza jest nazwa Somosierra symbolizująca daremne, choć

wielkie bohaterstwo niż na przykład Kirchholm. Choć pod Kirchholmem hetman Chodkiewicz rozgromił trzykrotnie liczniejszych Szwedów z małymi stratami własnymi, z korzyścią dla Rzeczypospolitej.

Studzianki nie mogą współzawodniczyć z bardziej sławnymi innymi bitwami Polaków w drugiej wojnie światowej ilością przelanej krwi własnej. Ale Brygada im. Bohaterów Westerplatte wzięła tam odwet na wrogu, wykrwawiła słynną i doświadczoną dywizję pancerno-spadochronową SS.

Z przyczółka magnuszewskiego, który dzięki Studziankom został utrzymany, wyszła w styczniu 1945 roku ofensywa, niosąca wolność Warszawie.

Materiały o bitwie pod Studziankami zbierałem dorywczo w ciągu ostatnich czterech lat. Wiem, że obraz walk Brygady jest w tej książce niepełny. Wdzięczny będę wszystkim żołnierzom frontowym 1 i 2 pułku czołgów oraz batalionu zmotoryzowanego, którzy zechcą przysłać mi swe uwagi, czy nawet podać tylko adres.

Mój adres: Janusz Przymanowski, ppłk

redakcja tyg. „Żołnierz Polski".
Warszawa, ul. Grzybowska 77

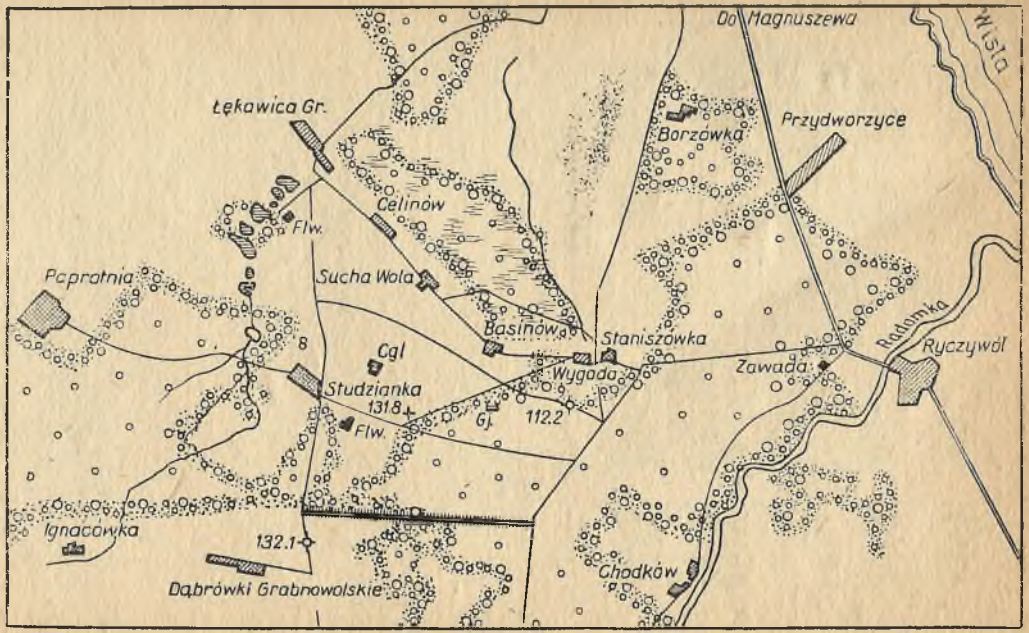

Mapka terenów, gdzie rozgrywała się bitwa

KRZYŻÓWKA Z TYGRYSEM

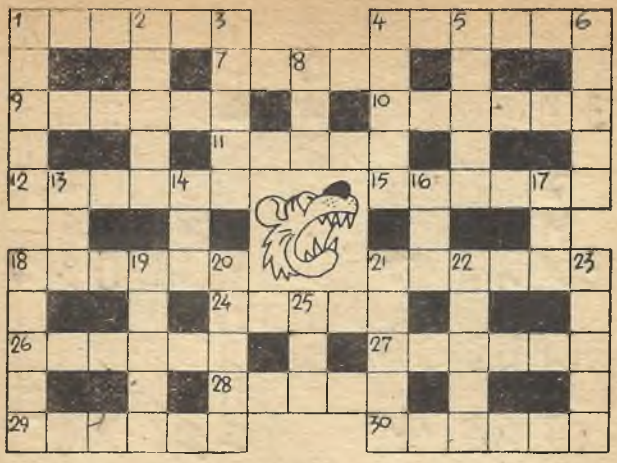

Poziomo: 1) Marszałek Armii Radzieckiej, jeden ze sławnych dowódców drugiej wojny światowej, 4) wieś, o którą toczyły się walki, 7) członek rady, urząd tytularny, 9) wyspa znana szeroko z produkcji win, 10) niewesołe, 11) uderzenia, 12) grządka kwiatowa, 15) lilie nilowe, 18) Członek Rady Wojennej 8 Gwardyjskiej Armii — generał pułkownik gwardii, 21) typ czołgu niemieckiego, biorącego udział w bitwie pod Studziankami, 24) papuga, 26) dawny żołnierz zaciężny ciężkiej kawalerii, 27) okop obronny broniony przez Ordona (oczywiście u Mickiewicza), 28) port nad Morzem Czerwonym, 29) rzemieślnik pracujący przy tokarni, 30) dość dobry.

Pionowo: 1) Roznosiciel malarii, 2) imię żeńskie, 3) idzie z powrotem, 4) imię generała Czujkowa, 5) rola, gleba, dno rzeki, 6) zajścia, awantury, 8) spód, 13) angielska miara powierzchni, 14) inaczej pali się słabym, przytłumionym ogniem, 16) bliskie krewne pszczół, 17) wizje senne, 18) korsarz, 19) prowadzi do kłębka, 20) nagle, niespodziewanie, 21) średniowieczny „czołg", 22) zacne, właściwe, 23) smarowidła, 25) imię Cyganki.

„Zwan"

Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania na adres: **Wyd. MON — Warszawa, ul. Grzybowska 77,** z zaznaczeniem na kopercie „Krzyżówka z tygrysem", rozlosowanych zostanie 10 książek — nowych pozycji z tej serii.

Najciekawsze książki morskie

1000 SŁÓW O MORZU I OKRĘCIE — mała encyklopedia wiedzy o morzu i marynarce. Jest to pierwsze tego rodzaju wydawnictwo w Polsce. Niezbędne dla każdego na codzień.

Cena zł 13,80

ARCHIWUM NEPTUNA — rewelacyjne, bogato ilustrowane wydawnictwo. Zbiór ciekawostek i sensacji z wszystkich mórz i oceanów. Tajemnice wojen morskich i okrętów wojennych.

Cena zł 24,00

MILCZĄCY ŚWIAT — książka bijąca rekordy poczytności w 20 krajach. Przygody słynnych francuskich płetwonurków w głębinach jezior i mórz. Wielobarwne zdjęcia podwodne.

Cena zł 22,00

Do nabycia w księgarniach „Domu Książki"

Nim zaczniesz prowadzić samochód, zapoznaj się z tymi książkami.

Pójdzie ci łatwiej

Jeśli już prowadzisz samochód, zapoznaj się z tymi książkami koniecznie.

Sprawdzisz swe umiejętności

Z. Wilamowski — **RYSUNKOWY KURS KIEROWANIA SAMOCHODEM**
Jedyny w Polsce ilustrowany barwnie podręcznik nauki jazdy.
Str. 127, cena zł 11,00

W. Rychter — **DOŚWIADCZONY KIEROWCA**
Doskonały poradnik każdego kierowcy i każdego kandydata na kierowcę.
Str. 331, cena zł 16,70. Oprawa płócienna

W. Rychter — **WYPADKI DROGOWE**
Jedyna w Europie książka omawiająca przyczyny powstawania wypadków drogowych, metody zapobiegania im, sposoby wykrywania ich przyczyn itd. Niezbędna dla wszystkich kierowców.
Str. 535, cena zł 46,00. Oprawa płócienna

Książki te można nabywać w księgarniach „Domu Książki". Żądaj ich tam, a w razie ich braku złóż u księgarza zamówienie.

Wszystkie książki naszego Wydawnictwa można także nabywać drogą pocztową, nadsyłając na adres

WOJSKOWA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA „DOMU KSIĄŻKI"
Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 11

zamówienie z podaniem tytułów książek, ilości egzemplarzy i czytelnym własnym adresem. Książki zostaną nadesłane w szybkim terminie za zaliczeniem pocztowym.

Cena zł 5.—

CYKL

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

BOHATEROWIE – OPERACJE – KULISY

WIELKI DZIEŃ DYWIZJONU 303
ZAMACH NA KUTSCHERĘ
KAMIKAZE – LOTNICY ŚMIERCI
OSTATNI ZAMACH NA HITLERA
DUCHY DŻUNGLI
ZAGŁADA PEARL HARBOR
LUDZIE Z INNEGO ŚWIATA
W POŚCIGU ZA V-1
LUDZIE - TORPEDY
CYRK SKALSKIEGO
WIELKI BLUFF ADMIRALICJI
GDZIE JEST OBERLEUTNANT SIEBERT
TAJEMNICA ŁUKU KURSKIEGO
„ALTMARK" OKRĘT - WIDMO
FAŁSZERZE Z SS
STACJA Nr 4 NIE DZIAŁA
DROGA ARCYSZPIEGA
KLĘSKA NA FILIPINACH
ASY WYWIADU
TWIERDZA ŚMIERCI
NA CELOWNIKU T-VI
OSTATNIA AKCJA
TAJNA MISJA RUDOLFA HESSA
TAJEMNICZE BRONIE
ZAGADKA CICERO
ZMIERZCH GIGANTÓW
KONIEC KING KONGA
LEW PUSTYNI W POTRZASKU
ODYSEJA HANSA SCHMIDTA
MISJA GENERAŁA BETHOUART
MINIATUROWA ARMADA
CICHOCIEMNI

ZAPAMIĘTAJCIE TEN ZNAK

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

– BOHATEROWIE – OPERACJE – KULISY –

Dramatyczne wydarzenia największych zmagań wojennych w historii; przełomowe, nieznane momenty walk; czujnie strzeżone tajemnice pól bitewnych, dyplomatycznych gabinetów, głównych sztabów i central wywiadu ukazuje

CYKL WYDAWNICZY, W SKŁAD KTÓREGO WCHODZI NINIEJSZY TOMIK